Opłatę pocztową uiszczono gotówką.

Cena 30 gr.

Brzask

DYSKUSYJNY MIESIĘCZNIK KULTURALNO-SPOŁECZNY

Nr. 2 (10) Warszawa, luty 1938 Rok II

A. Kamiński (Śląsk — Górki Wielkie)

Totalizm nam się nie podoba

Nam — to znaczy harcerstwu. Skłonni jesteśmy nawet twierdzić, że jest nam równie niemiły i obcy — jak kłamstwo, wódka lub zgorzkniały pesymizm.

W tym poglądzie nie jesteśmy zresztą odosobnieni. Przytłaczająca większość opinii polskiej, której wyrazem jest prasa, organizacje społeczne, partie polityczne — zapatruje się na pomysły totalistyczne nieżyczliwie. Czytelnik prasy codziennej może nawet mieć w stosunku do „Brzasku" pewną pretensję: „Poco walczycie z wiatrakami, jeśli rzecz jest oczywista".

Dla społeczeństwa dojrzałego jest oczywista, ale starsze klasy szkół średnich oraz wyższe uczelnie są objęte modnym dziś fermentem: hitleryzm i stalinizm są tuż u naszych bram. Krzyczą głośno, reklamują się, olśniewają statystykami i efektownymi dekretami. Ponieważ zaś przywilejem młodości jest niezadowolenie ze stanu obecnego i szukanie „nowych dróg" do pchnięcia naprzód losów ojczyzny i świata, — naturalnym biegiem spraw szuka młodzież remediów na stan obecny wśród idei obcych „starszym".

Tak było zawsze i tak zawsze będzie. Rewolucjonizm młodzieży raz pójdzie w kierunku socjalistycznym, kiedyindziej w niepodległościowym, a innym w antysemickim i totalistycznym.

Gdy idee rewolucyjne młodzieży pokrywały się z naszą harcerską ideologią, znajdowały w nas nie tylko poparcie, ale i swych pionierów. Świadkiem — lata 1911 — 1920.

Natomiast, gdy rewolucjonizm ten godzi w cały dorobek etyczny i w światopogląd harcerstwa, musi napotkać w nas przeciwników. Nasza energiczna kontrakcja, czynna praca uświadamiająca otoczenie, nasza bojowa postawa winny stanąć w obronie tych dóbr moralnych, które są dorobkiem naszym i dorobkiem ludzkości.

*

Cóż złego jest w totaliźmie? Dlaczego skłonni jesteśmy ten kierunek myśli uznać za szkodliwy.

Dwa skłaniają nas ku temu powody:
1) harcerski,
2) narodowy.

*

Zaczniemy od punktu widzenia harcerskiego.

Druhno, Druhu! Jakie jest Twoje zdanie w następujących sprawach harcerskich:

1. Czy do harcerstwa winien wstępować ten, kto chce, komu to odpowiada, kto się do poziomu harcerskiego podciąga — czy też jesteś zdania, że cała bez wyjątku młodzież z Twojej szkoły winna z nakazu wstąpić do drużyn harcerskich?

2. Czy harcerstwem kierować mają bezinteresowni pracownicy społeczni, instruktorzy wysunięci na to stanowisko przez samą organizację harcerstwa ze swego własnego grona — czy też należy stworzyć specjalny urząd państwowy, który gęstą siecią swoich płatnych funkcjonariuszy (mianowanych przez głównego kierownika tego urzędu) pokryłby cały kraj?

3. Czy odpowiada ci przebijająca się we wszystkich harcerskich ćwiczeniach samodzielność harcerzy, rozbudzanie ich inicjatywy, apelowanie do samodzielnego wyszukiwania sobie nowych obowiązków i obarczania się tymi obowiązkami, — czy też sądzisz, że lepiej by było, gdyby szły z góry rozpracowywane instrukcje, a główną cnotą członka organizacji byłoby dokładanie wszelkich wysiłków w kierunku najbardziej skrupulatnego i karnego wykonywania tych oto centralnych dyspozycji?

4. Czy odpowiada ci idea braterstwa skautowego, polegającego na tym, że odczuwasz specjalny sentyment do młodzieży wyznającej na świecie te same co ty ideały — czy też uważasz, że wszystko to jest kłamstwem i polityką, oraz że młodzież polska zerwać powinna owe „międzynarodówkowe" kontakty, skupić się we własnym polskim obozie, nieufnie i zaczepnie patrząc na wszystko co nie polskie?

5. Jak sądzisz, czy to jest rzeczą dopuszczalną czy niedopuszczalną, jeśli się ma inne myśli i inne poglądy niż te, jakie wyszły z podpisem kierownika organizacji?

Nie chcę już dalej mnożyć tej litanii pytań, chociaż sporo ich ciśnie się pod pióro. Pozwól tylko, Druhno i Druhu, że — zgadując Twe odpowiedzi — podsumuję je w jednym zdaniu:

Harcerstwo nie pasuje do ustroju totalnego, a harcerze nie nadają się na „totalniaków". Całe wychowanie harcerskie, cały ustrój naszej organizacji idzie w innym kierunku.

Potwierdzeniem jaskrawym tej tezy jest fakt, że jednym z pierwszych posunięć każdego totalnego rządu jest likwidacja skautingu. Świadectwo temu dają: Włochy, Rosja, Niemcy, Turcja. Ostatnio zaś bardzo pouczające wiadomości nadchodzą z Rumunii.

*

W tym miejscu mogę spodziewać się od zwolennika totalizmu mniej więcej takiego zapytania:

— Wnioski pana, panie K., byłyby całkowicie przekonywujące, gdyby dobro harcerstwa było rzeczą ważniejszą od dobra Polski. Ponieważ jednak nie nos dla tabakiery, a tabakiera dla nosa — dobro harcerstwa powinno zniknąć wobec dobra kraju. Jeśliby więc dobro Polski wymagało totalizmu, to jest zorganizowania wysiłków narodu i jego woli dyspozycyjnej w jednym punkcie — nieznoszącym sprzeciwów i nieskoordynowanych skądkolwiek wystąpień, to...

— Szanowny Panie Totalisto! Całkowicie zgadzam się z Panem, gdy Pan twierdzi, że dobro harcerstwa winno ustąpić przed dobrem narodu. Niech mi Pan tylko pozwoli wyciągnąć logiczny wniosek z twierdzenia, że ustrój totalny jest równoznaczny z najwyższymi potrzebami państwa.

Otóż twierdzenie to może być albo prawdziwe albo fałszywe.

Jeżeli jest prawdziwe — to niech Bóg ma w swojej opiece totalistów i niech poprowadzą oni kraj nasz do zwycięstw i do chwały. Nie twierdziłem i nie twierdzę, że totalista równa się człowiekowi naprzykład nieuczciwemu. Twierdzę tylko, że totalizm jest antytezą harcerstwa. Dlatego też każdy konsekwentny totalista powinien z harcerstwa odejść. Przecież świat się na harcerstwie nie kończy. Jest tyle sposobności do pełnienia pożytecznej służby ojczyźnie poza harcerstwem. A więc, jeśli przyjąć twierdzenie, że Pana idee, Panie Totalisto, są prawdziwe, realizuj je gdzie chcesz i jak chcesz, ale nie w harcerstwie, nie w obcym dla siebie klimacie.

Ale, jeżeli twierdzenie Pana jest fałszywe, Panie Totalisto? Jeżeli ustrój totalny, którym Pan chce obdarzyć swoją ojczyznę kryje w swych zarodkach śmiertelne dla ojczyzny niebezpieczeństwo, to co wtedy?

*

Możliwie najobjektywniej patrząc na bieg historii stwierdzić musimy, że wprowadzenie ustroju totalistycznego wnosi z sobą w życie państwa zarodki nieobliczalnych niebezpieczeństw.

Primo: jedną z rzadkich reguł historii jest, że w każdym wieku po każdym okresie władzy despotycznej (a jednym z kryteriów totalizmu jest absolutyzm) następowały z reguły ciężkie rewolucyjne zaburzenia. Wyszczególnię tutaj kilka nazwisk, prosząc czytelnika, aby nazwiska te czytał powoli i uprzytomnił sobie fakty, które następowały po zgonie organizatora władzy despotycznej w danym kraju.

Aleksander Wielki... Karol Wielki... Bolesław Chrobry... Bolesław Śmiały... Iwan Groźny... Piotr Wielki... Ostatni Ludwikowie francuscy... Cromvell... Napoleon...

Secundo: Szczególnie niebezpiecznym, często śmiertelnie niebezpiecznym dla ustrojów absolutystycznych momentem jest przegrana wojna. Ustroje demokratyczne z reguły o całe niebo łatwiej znoszą klęskę niż ustroje absolutystyczne, gdzie krwawa rewolucja wewnętrzna idzie zawsze wślad za przegraną.

Otóż ustrój totalny być może przynosi krajowi doraźne wzmocnienie jego pozycji, wzrost jego siły militarnej, zaborczości, sprężystości organizacyjnej, ale nie jest to siła i potęga naturalna i zdrowa, albowiem u źródeł tej potęgi przyczaiły się w ukryciu, chwilowo być może niewidoczne, demony nienawiści i buntu.

Raz już wezwawszy imienia boskiego pozwolę sobie uczynić to po raz drugi. Niech Bóg ma w opiece narody, będące pod rządami totalnymi w momencie zgonu dyktatora oraz w okresie ciężkiej wojny. Albowiem moce potężne automatycznie wtedy działać zaczną przeciwko ustrojowi.

Ponieważ życząc dobra Polsce należy życzyć jej tego dobra rozumnie, dlatego lepiej już jest wyrzec się efektów doraźnych na rzecz zdrowia państwowego obliczonego na długą metę.

Bowiem ustrój demokratyczny, który jest przeciwstawieniem ustroju totalnego, ma to do siebie, że w zarodku swym, u swych podstaw posiada przedziwnie cudowny automatyzm bezkrwawego i bezrewolucyjnego likwidowania ciężkich dla życia narodu okresów.

Ma się rozumieć, nie mam na myśli erzatzdemokratyzmu, ale prawdziwy.

*

Chcę zatrzymać się chwilę nad doraźnymi zdobyczami, jakie towarzyszą ustrojom totalnym, są one bowiem bardzo silnym argumentem w ustach totalistów.

Przecież Mussolini osuszył błota pontyjskie, stworzył z żołnierza włoskiego potęgę militarną, podniósł na ogromne wyżyny lotnictwo włoskie... a Hitler, panie dobrodzieju, zbudował autostrady, zlikwidował bezrobocie; nawet Bolszewicy pobudowali swoje Dniepropietrowski i Magnitogorski.

Wszystko to jest prawda. Dyktatorzy istotnie tego wszystkiego dokonali, a dokonawszy roztrąbili na cały świat, aż wbili to w głowę czytelnikowi gazet i pism ilustrowanych.

Państwa demokratyczne dokonywują takich samych cudów, często nawet większych, tylko, że bez reklamy i dlatego mało o tym wiemy.

Czyż naprzykład to, czego dokonała Holandia osuszając Zuidersee ,czyż nie jest czymś, co przekracza największe osiągnięcia państw totalnych? A przecież harcerze polscy, prawdę mówiąc, zarientowali się w tym kolosalnym wyczynie Holendrów dopiero przy przyjeździe do Holandii. A elektryfikacja Szwajcarii? A miasta amerykańskie? A dobrobyt Szwedzki? A Gdynia?

*

Jeżeli do tych wszystkich argumentów dodać jeszcze ostatni, mianowicie, że rzadko jaki naród na świecie ma swą duszę narodową tak mało usposobioną do totalizmu, jak naród polski — łańcuch nieżyczliwych dla totalizmu argumentów zostaje w tym artykule zamknięty.

*

Nie tylko jako harcerze, ale również jako obywatele kraju „nie lubimy“ totalizmu.

Uważamy, że ten wynalazek powojenny narodów „pokrzywdzonych“ — nie wyszedłby nam na zdrowie.

I dlatego:

a) Starajmy się — my starsi harcerze — demaskować w oczach młodzieży złudne majaki chorej w zarodkach doktryny — doktryny antyharcerskiej.

b) umacniać wśród nas samych i nazewnątrz nas z istoty harcerstwa wypływające zasady demokratyzmu. Demokratyzmu silnego, prężnego, dobrze zorganizowanego, ale zawsze d e m o k r a t y z m u.

A. Kamiński

Ludwik Bar (Warszawa)

Jeden krok w porozumieniu

Wszyscy odrazu odgadną, że chodzi tu o porozumienie organizacyj młodzieżowych: — Z. H. P. — Strzelec — Siew i OMP. — Cóż pisać — skoro już tyle szpalt zapisano na ten temat w gazetach, harcerskich i nieharcerskich? Czy przeciw? Nie, bo od początku jestem zwolennikiem porozumienia. Nie będę również uzasadniał swego stanowiska, gdyż motywy udziału w porozumieniu zostały ogłoszone zarówno oficjalnie w enuncjacjach władz harcerskich, jak i wielu artykułach prasy harcerskiej, zwłaszcza „Brzasku“. — Pragnę natomiast podzielić się z czytelnikami „Brzasku“ moimi spostrzeżeniami, co do realizacji porozumienia na jednym z odcinków pracy starszych harcerzy na kursie przodowników pracy starszoharcerskiej na Głodówce — w czasie 28. XII. ub. r. — 6. I. b. r. A było to tak:

Sprawa porozumienia bardzo żywo była komentowaną w zespołach starszoharcerskich, przy czym w dyskusjach na ten temat nie brakowało ostrych ataków pod adresem władz harcerskich oraz różnego rodzaju zarzutów przeciw organizacjom, z którymi harcerstwo zawarło porozumienie. Zdarzało mi się bywać świadkiem takich roztrząsań. Oceniając na tej podstawie charakter stawianych zarzutów przyszedłem do przekonania, że popełniono przy tym w większości przypadków duży „grzech harcerski“, — jeżeli by tak można powiedzieć, — bo wygłoszono ujemne oceny bez dostatecznego zaznajomienia się ze stanem faktycznym. W ten sposób sformułowano też niejednokrotnie zastrzeżenia, co do tej lub owej organizacji, która przystąpiła do porozumienia. Czasami wprost bezkrytycznie powtarzano opinie i wiadomości za brukowymi pismami, które nie mogą stanowić dla harcerza podstawy do formułowania i rozpowszechniania ujemnego sądu — o jednostce, a tymbardziej o całej organizacji.

Pod wpływem powyższych spostrzeżeń wprowadziliśmy do programu zimowego kursu przodowników pracy starszoharcerskiej zagadnienie porozumienia i to w dwojakiej formie: referatów o organizacjach uczestniczących w porozumieniu i omówienia zagadnienia porozumienia ze strony harcerstwa.

Referaty o Strzelcu, Związku Młodej Wsi i O. M. P-ie wygłosili na kursie przedstawiciele tych związków, delegowani specjalnie przez władze tych organizacji na prośbę Głównej Kwatery Harcerzy. Przedstawiciele wspomnianych organizacji mówili o zasadach organizacyjnych, programie i metodzie prac, po czym na zapytania uczestników kursu udzielali wyczerpujących odpowiedzi. Zarówno ton referatów, jak i zapytań oraz obustronna szczerość do omawiania spraw sprawiły, że obydwie strony — prelegent i słuchacze w pełni się porozumieli. Nie tylko, że nie było żadnych zadrażnień — ale wytworzył się obustronnie przyjazny nastrój, w którym pojawiły się głosy, że spotkania tego rodzaju powinny się odbywać możliwie często. Okazało się bowiem, że nad różnicami organizacyjnymi, programowymi i metodycznymi — zapanowała wspólna dla wszystkich troska o kierunek wspólnego marszu pokolenia. A to jest właśnie istotą porozumienia.

Sprawę porozumienia omówiłem na wspólnym zebraniu uczestników naszego kursu i uczestniczek Konferencji Kierowniczek pracy starszych harcerek, zorganizowanej w Bukowinie przez Główną Kwaterę Harcerek. Przedstawiłem to zagadnienie w płaszczyźnie innych aktualnych zagadnień społecznych. W ożywionej dyskusji nad zagadnieniami objętymi referatem — sprawa porozumienia nie tylko, że nie była atakowaną, ale nawet nie wbudzała żadnych wątpliwości, które wymagałyby wyjaśnień. Przyjęliśmy to, jako zrozumienie przez uczestników zebrania istotnego znaczenia porozumienia.

Jak więc z porozumieniem? Na tym odcinku, o którym piszę — dobrze. Doświadczenia z kursu zachęcają mnie do tego, ażeby zainicjować, czy też przyczynić się do zorganizowania jakiejś wspólnej konferencji, czy obozu, grupy kierowników pracy ze wszystkich organizacji, pragnących się porozumieć. Sądzę, że znajdą się chętni. Byłby to nowy krok naprzód.

Kuźnicom i Kręgom starszoharcerskim doradzam, ażeby zaprosiły przedstawicieli organizacji należących do porozumienia do wygłoszenia referatów informacyjnych o pracach tych organizacji. Przy dobrej woli i harcerskim stawianiu sprawy takie wspólne rozmowy przynieść mogą tylko obustronne korzyści: porozumienie się, co do lokalnych potrzeb oraz planów organizacyjnych.

Irena Dziewicka (Wilno)

Wieś woła o lekarza

„Wieś nie ma opieki lekarskiej — oto myśl przewodnia wszystkich bez wyjątku referatów wygłoszonych na tej konferencji. Chłop polski nie leczy się prawie wcale lub leczy się źle — mówili wszyscy zabierający głos w tej sprawie, poczynając od najwyższego reprezentanta władz państwowych do tych przedstawicieli wsi, którzy ze środowiska chłopskiego tu przybyli i niejako w jego imieniu, a w każdym razie w imię jego najistotniejszych potrzeb przemawiali. Pod tym względem wszyscy jesteśmy zgodni. Osobiście mam jedno tylko zastrzeżenie: nie wydaje mi się słusznym twierdzenie, że sytuacja pod względem opieki lekarskiej wybitnie się pogorszyła w ostatnich czasach wskutek ciężkich warunków materialnych, w jakich się znalazła wieś. Powiedzmy otwarcie — *chłop polski jeszcze nigdy przez długie wieki historii nie leczył się*".

Tak rozpoczął swe przemówienie końcowe kierownik działu zdrowia Instytutu Spraw Społ. — dr. M. Kacprzak na konferencji poświęconej opiece lekarskiej na wsi, zwołanej w lutym 1937 r. przez Instytut Spraw Społecznych w Warszawie.

Katastrofalny stan pomocy lekarskiej na wsi oraz związana z tym wysoka śmiertelność i szerzenie się szeregu chorób wśród ludności wiejskiej już od pewnego czasu stały się przedmiotem troski społecznie myślących lekarzy. Zdrowotność wsi pogorszyło jeszcze w ostatnich latach wyjęcie z obowiązku ubezpieczeń społecznych na wypadek choroby wszystkich pracowników i robotników rolnych (ustawa scaleniowa z dn. 1.X.33). W ten sposób % ubezpieczonych na wypadek choroby jest w Polsce niebywale niski.

Tylko 8% ludności polskiej posiada ubezpieczenia chorobowe. (Podczas gdy w Anglii 42% ludności, w Szwajcarii 35%, Francji 17%, Czechosłowacji 16%). Ofiarą tak małego procentu ubezpieczonych pada przede wszystkim wieś.

W kilku artykułach zamieszczonych w Przeglądzie Ubezpieczeń Społecznych dr. S. Giebocki omawia skutki odebrania wsi ubezpieczeń chorobowych i oddania opieki nad zdrowiem robotników rolnych pracodawcom:

Spadła kolosalnie frekwencja chorych u lekarzy; z majątków, z których przychodziło do Kasy Chorych 80 — 100 osób, obecnie przychodzi do lekarza 3 — 4. Jeżeli przyjąć, że 50% przychodziło bez potrzeby, to i tak 90% potrzebujących wogóle pomocy lekarskiej nie otrzymuje. Dotychczas z masy zgłaszających się osób wyławiano chorych z początkową gruźlicą, którzy przy odpowiednim leczeniu wracali do zdrowia. Obecnie chory z kaszlem nie jest posyłany do lekarza, leczą go we dworze. Do rąk lekarza dostaje się zdeklarowany suchotnik. W takich warunkach gruźlica na wsi szerzy się coraz bardziej.

W ciągu jednego tylko roku po odjęciu wsi ubezpieczeń społecznych zaobserwowano na wsi wzrost chorób wenerycznych o 100% — jako skutek niemożności leczenia się na koszt Kas Chorych.

„W gabinetach naszych widuje się może 5% tej ilości dzieci, co przed 1.IX.33, ale też i śmiertelność niemowląt podskoczyła od tej pory w niesłychanym stopniu".

Lekarz powiatowy obowiązany do czuwania nad opieką lekarską wsi jest przeciążony pracą i nie może podołać nadzorowaniu około 60 majątków i 1000 drobnych gospodarstw (prócz oczywiście innej pracy).

Lecznictwo wsi — konkluduje swój artykuł dr. Giebocki — stoi dziś na poziomie z przed 200 — 300 lat. Jako jedyne wyjście z sytuacji autor widzi oddanie pomocy lekarskiej w rolnictwie w ręce Ubezpieczalni Społecznej.

W jednym z artykułów „Kuriera Porannego" pt. „Znachor wyprawia ze wsi lekarza" — czytamy:

Olbrzymia większość tych, którzy **nie docierają do lekarzy, albo z obawy utraty posady, albo wskutek sprzeciwu pracodawcy**, lękającego się „wygórowanych" wydatków — leczy się „domowymi" środkami. Po wsiach zauważono wielki rozrost znachorstwa. Do „pseudoleczenia" biorą się niefachowcy, częstokroć oszuści. I oto wymowne rezultaty — wzrost śmiertelności wśród ludności wiejskiej, zwiększenie procentu przedwczesnego inwalidztwa, niezdolności do pracy u robotników rolnych.

Lekarze malują w swych odpowiedziach groźne niebezpieczeństwo problematycznej teraz rejestracji chorób zakaźnych oraz całkowitego nieleczenia t. zw. chorób przewlekłych (skrufuloza, krzywica gruźlica). Gruźlicy zgłaszają się w większości wypadków dopiero w ostatnim, nieuleczalnym już stadium choroby.

Do tej długiej litanii żalów lekarzy praktykujących dorzucają swoją wzmiankę lekarze szpitalni. **Spadek liczby chorych w szpitalach, według ich obliczeń, należy szacować na 50 — 75 proc.**

Bardzo często ze względu na oszczędności nie wzywa się lekarza do domu, lecz wozi się doń obłożnie chorego kilka, lub kilkanaście kilometrów drogi. Z tych samych względów oszczędnościowych nie posyła się chorych do szpitali, wbrew zaleceniu lekarza.

W ciągu całego okresu funkcjonowania nowego systemu robotnicy nie mieli możności korzystania z porad specjalistów. Ponadto wielkim obostrzeniom uległa opieka nad członkami rodzin zatrudnionych

Gdyż istotnie — majątek o obszarze 200 ha w woj. tarnopolskim w r. 1933 opłacał 1.100 zł. na kasę chorych, w r. 1934 zaś na koszty lecznictwa wydatkował zaledwie 165 zł. Majątek o powierzchni 250 ha w woj. toruńskim ma zredukowane wydatki na opiekę lekarską z 2.700 zł. na 830 zł. Majątek o 800 ha, w poznańskim, płaci obecnie przeciętnie zamiast dawnych 742 zł., tylko 222 zł. miesięcznie.

Oczywiście łatwo można zrozumieć skąd powstały tak kolosalne różnice w wydatkach, skoro się wie, że bardzo znaczny odsetek robotników otrzymuje pomoc lekarską albo w minimalnym zakresie, albo nie otrzymuje jej wcale. W tych majątkach bowiem, gdzie wprowadzono nowy system, nie oszczędzając na zdrowiu pracownika, różnice wydatków są daleko mniejsze".

Osobno należałoby poruszyć brak pomocy położniczej na wsi. Niechybnie w związku z tym stoi stały wzrost wypadków gorączki połogowej. Podczas gdy w r. 1932 zarejstrowano 1229 wypadków, w r. 1935 już 1721. Zły stan zdrowotny wsi spowodowany ciężkimi warunkami ekonomicznymi oraz brakiem pomocy lekarskiej odzwierciadla stały wzrost zdyskwalifikowanych do wojska poborowych. Główną przyczyną dyskwalifikacji jest przede wszystkim niedostateczny rozwój fizyczny oraz gruźlica.

Dodać trzeba, że w ciągu ostatnich lat w żadnej chyba dziedzinie tak nie obniżono wydatków publicznych, jak w dziedzinie opieki nad zdrowiem ludności: w porównaniu do r. 1928/29 w r. 1934/35 samorządy zmniejszyły wydatki na zdrowie publiczne o 65,4%, Ubezpieczalnie — o 58,6%

Rezultatem napływających zewsząd alarmujących wiadomości o postępie degeneracji fi-

---

Ś. p.
Jerzy Niedziałkowski

Gdy prasa doniosła, że odbył się w Wilnie w styczniu b. r. pogrzeb starosty jarocińskiego, nie wielu wiedziało, że odszedł na wieczny spoczynek jeden z b. harcerzy, jeden z tych co w swoim czasie należeli do grupy pionierów harcerstwa wileńskiego. Jako kilkunastoletni chłopiec (urodzony w 1901 r.) rozpoczyna w czasie okupacji niemieckiej konspiracyjną służbę harcerza, biorąc czynny udział w pamiętnej pierwszej samoobronie wileńskiej. — Dzięki ruchliwości i zdolnościom organizacyjnym wysuwa się jako jeden z przywódców młodzieży harcerskiej. — Gdy mimo wysiłków samoobrony Wilno w styczniu 1919 r. całkowicie dostaje się do rąk bolszewickich, on właśnie skupia nielicznych z pozostałych w Wilnie harcerzy w drużynie im. Jakóba Jasińskiego, budząc w nich zapał i wiarę w jasną przyszłość Wilna.— Z drużyną związał się mocno i serdecznie, wychowując cały szereg chętnych jednostek, pozostając drużynowym do końca swej służby harcerskiej. — Oprócz pracy w drużynie, oprócz nauki, a później studiów prawniczych na U.S.B., oprócz intensywnej pracy nad kształceniem swego umysłu i charakteru, znajduje zawsze czas na szersze prace organizacyjne w Harcerstwie, do których przygotował się przez odbycie w 1919 r. związkowego kursu instruktorskiego w Zwierzyńcu Zamojskim, uzyskując potym stopnie instruktorskie, będąc jednym z pierwszych nielicznych instruktorów umieszczonych w Wilnie. — Pracuje na różnych odcinkach pełniąc różne funkcje w Inspektoracie, a potym w Komendzie Hufca i Komendzie Chorągwi w Wilnie, aż do funkcji tymczasowego zastępcy Komendanta Chorągwi włącznie. W roku 1920 wraz ze wszystkimi harcerzami od lat 14 w górę odbywa służbę ochotniczą w Wojsku Polskim, będąc współorganizatorem Batalionu Samoobrony Wileńskiej. — Po ukończeniu studiów rozpoczyna praktykę administracyjną w Wileńskim Urzędzie Wojewódzkim. — Praca zawodowa pochłania go i zwolna odsuwa od czynnej pracy harcerskiej. — Od roku 1924 nie należy już do ZHP., zawsze jednak żywo interesuje się rozwojem Harcerstwa, otaczając je jako starasta opieką ,zawsze śledzi z zainteresowaniem życie i pracę swej macierzystej drużyny imienia Jakóba Jasińskiego w Wilnie, gdzie pozostawił po sobie pamięć serdecznego, ofiarnego w pracy, znającego i rozumiejącego swych chłopców, drużynowego.

Śmierć przedwczesna zabrała z grona b. harcerzy prawego i dzielnego człowieka.

M. PUCIATA

drużynowy 7 D. H. im. J. Jasińskiego w Wilnie.

zycznej wsi było zwołanie przez Instytut Spraw Społecznych specjalnej konferencji poświęconej opiece lekarskiej na wsi. W konferencji tej wzięli udział przedstawiciele Ministerstwa Opieki Społecznej, lekarze, działacze samorządowi i t. p.

Podstawowy referat wygłosił dr. Kacprzak. Tezy jego przedstawiają się w streszczeniu jak następuje:

Istnieje niewątpliwie ogromny brak lekarzy na wsi. 1 lekarz w Polsce przypada 9.600 mieszkańców, (na wsiach ten stosunek jest znacznie jaskrawszy), podczas gdy normy europejskie przewidują 1 lekarza na 2.000 ludności. Lekarze przeważnie koncentrują się w miasteczkach co stwarza kolosalne odległości między potrzebującym pomocy chorym ze wsi a lekarzem.

Specjalnie należy podkreślić brak pomocy w położnictwie. Zaledwie 5% do 30% kobiet, zależnie od dzielnicy, odbywa porody przy pomocy akuszerki — i to często się zdarza, że akuszerka wiejska nie ma z czego żyć, o ile nie uprawia sztucznych poronień.

Na prowincjach daje się odczuć niewspółmiernie mała — w stosunku do ilości mieszkańców—ilość łóżek szpitalnych. I to wielka ilość łóżek świeci pustkami, ponieważ chłop niezamożny nie może się leczyć w szpitalu ze względu na wysokie koszta. Gruźlica szerzy się na wsi coraz bardziej.

W dyskusji nad referatem dr. Kacprzaka poruszono jeszcze m. innymi niebezpieczeństwo szerzenia się chorób wenerycznych oraz pozbawienie opieki lekarskiej dzieci wiejskich.

W swym pięknym przemówieniu końcowym zaznaczył dr. Kacprzak, że są 2 stopnie rozwoju pomocy lekarskiej wsi.

Ideałem jest „powszechna służba zdrowia" — udostępnienie pomocy lekarskiej wszystkim i w każdym wypadku. Jest to droga długa, wymagająca szeroko zakrojonych reform społecznych — da rezultaty wtedy tylko, gdy chłop prócz pomocy lekarskiej będzie miał chleb i oświatę. Pierwszy stopień — to program na dziś:

„Program minimalny powinien obejmować opiekę lekarską w znacznie skromniejszym zakresie, ale dostępną dla wszystkich i *to nie jako filantropię lecz prawo. Pomoc w nagłym wypadku, fachową opiekę w połogu, opiekę w chorobie zakaźnej powinien otrzymać każdy obywatel, niezależnie od tego czy ma środki czy nie*". Organizację służby zdrowia należy wprowadzić planowo: wybór punktów rozmieszczenia lekarzy wiejskich, ośrodków zdrowia, akuszerek, musi być kierowany istotną potrzebą ludności.

W miarę możności należy budować ośrodki zdrowia. Ośrodki zdrowia są idealnym lecz niestety kosztownym sposobem upowszechniania służby zdrowia.

Inicjatywa samych chłopów przy zakładaniu spółdzielni zdrowia jest objawem b. dodatnim, — wymaga jednak pewnej kultury, wyrobienia i zamożności — dlatego nie wszędzie w Polsce ma szanse powodzenia. Ujemną stroną spółdzielni jest niedostępność spółdzielni dla największej nędzy.

B. ważnym czynnikiem jest wychowanie lekarza nadającego się do pracy na wsi. Dotychczas takich lekarzy prawie nie ma. Koniecznością jest umożliwienie kończenia medycyny synom chłopów, przez wyznaczanie szeregu stypendiów i pomocy przy kończeniu studiów. Lekarz przeznaczony do pracy na wsi musi kształcić się w „izbie wiejskiej" — poznać gruntownie warunki, w jakich żyje wieś. Walczyć należy nie o zmniejszenie, ale o zwiększenie ilości lekarzy.

Prócz lekarzy gminnych koniecznością jest wprowadzenie akuszerek gminnych i zapewnienie przez gminę bezpłatnej pomocy położniczej dla najbiedniejszych. Wtedy możnaby było ustalić prawnie obowiązkowe sprowadzanie położnych dla kobiet rodzących.

Lekarz i akuszerka gminna to jeszcze za mało. Równie ważnym jest bezpłatne łóżko w szpitalu dla chorych zakaźnych celem zapobiegania szerzenia się epidemii oraz obniżenia ceny lekarstw.

Ponieważ warunki, w jakich żyje ludność, są podstawowym czynnikiem zdrowia lub choroby, należy stworzyć instytucję „pielęgniarki społecznej" — która przez wywiady, rozmowy, odwiedziny badałaby środowisko względnie udzielałaby porad higienicznych oraz współpracowała z rodziną chorego. Aby umożliwić dziewczętom wiejskim pracę na własnym terenie w charakterze akuszerek lub pielęgniarek, trzeba ułatwić im naukę i zapewnić stypendia.

Na konferencji w sprawie opieki na wsi powzięto szereg uchwał:

1. Opieka lekarska na wsi jest w chwili obecnej niezorganizowana i niewystarczająca:

a) lekarz jest niedostępny (zbyt odległy, zbyt drogi), brak lekarzy specjalistów, brak pomocy technicznych, brak pracowni, personelu pomocniczego.

b) opieka szpitalna nie zaspakaja potrzeb najbardziej palących, niedostateczna liczba szpitali, brak oddziałów, środków transportowych, koszty szpitalne są niewspółmierne do możliwości finansowych ludności,

c) akcja zapobiegawcza rozwija się zbyt powoli.

2. Stan opieki nad zdrowiem pracowników rolnych i ich rodzin w dzisiejszej organizacji jest z punktu widzenia zdrowia publicznego niedopuszczalny, a w niektórych działach np. chorób zakaźnych ostrych i chronicznych groźny dla całego społeczeństwa.

Szerokie uprawnienie władz powiatowych rozporządzających środkami by zmusić pracodawców do dostarczania robotnikom należytej pomocy nie są wyzyskiwane.

3. Schorzenia, będące następstwem nieszczęśliwych wypadków, są na wsiach bardzo liczne i w skutkach swych mają duże znaczenie gospodarcze i społeczne. Stąd wynika konieczność właściwej organizacji pierwszej pomocy oraz specjalistycznej pomocy chirurgicznej.

4. Zorganizowanie odpowiednich podstaw opieki lekarskiej na wsi jak również podniesienie ogólnych warunków zdrowotnych ludności wiejskiej należy uważać za konieczność państwową. Wychodząc z założenia, że każdy obywatel ma prawo do pomocy lekarskiej w chorobie, należy stwierdzić, że oczekiwanie na samoistne uregulowanie sprawy opieki lekarskiej na drodze zwykłej podaży i popytu jest w warunkach wiejskich nie do przyjęcia.

5. Koniecznym jest opracowanie konkretnego i jednolitego planu organizacji pomocy lekarskiej na wsi, który będzie stopniowo w ciągu szeregu lat realizowany. Plan ten będzie stanowić wytyczną dla wszelkich wysiłków ujawnianych bądź to przez dobrowolny wysiłek społeczny, bądź to przez samorządy i państwo dla realizacji powszechnej opieki lekarskiej.

6. Najracjonalniejszą formą organizacji powszechnej ochrony zdrowia ludności wiejskiej stanowią terytorialne ośrodki zdrowia, mające za zadanie wszechstronną opiekę lekarską i higieniczną nad ludnością określonego terenu w zakresie zarówno leczenia jak i profilaktyki zdrowotnej, a także akcji sanitarnej. W razie niemożliwości zorganizowania odpowiednich sieci stałych ośrodków zdrowia, tworzyć należy ruchome kolumny zdrowia.

7. Organizację i prowadzenie całokształtu opieki lekarskiej na wsi należy oprzeć o samorządy, którym w tym celu należy zapewnić specjalne źródła dochodu.

8. Wszelkie próby zmierzające do samodzielnego zorganizowania przez ludność opieki lekarskiej na wsi, np. spółdzielnie zdrowia, powinny znaleźć życzliwy stosunek i czynne poparcie ze strony czynników państwowych i samorządowych.

9. Jednym z największych braków w związku z opieką lekarską na wsi jest niedostępność dla ludności wiejskiej leków, ze względu na wygórowane ceny . Zarówno na drodze ustawodawczej jak i organizacyjnej należy zmierzać do radykalnego obniżenia cen środków leczniczych.

10. Należy udostępnić ludności wiejskiej szpitale przez obniżenie opłat szpitalnych, zwłaszcza na oddziałach położniczych i zakaźnych. Niedobory kosztów szpitalnych powinny być pokrywane z funduszów publicznych.

11. Całokształt opieki lekarskiej na wsi powinien znaleźć wyraz w ustawodawstwie i w rozporządzeniach rządowych.

12. W celu przygotowania lekarzy do pracy na wsi należy dostosować odpowiednio studia na wydziałach lekarskich oraz stworzyć system doskonalenia lekarzy, którzy mają pracować na wsi. Należałoby ustanowić stypendia dla najzdolniejszych kandydatów, którzy chcą poświęcić się studiom lekarskim i po ukończeniu tych studiów odpracują pewną liczbę lat w służbie samorządowej, państwowej lub społecznej na wsi.

Jeżeli chodzi o koszt realny podobnej reformy opieki lekarskiej na wsi pewne dane daje nam artykuł dr. Babeckiego w „Kurierze Porannym" p. t. „Mobilizacja która się opłaci". Dr. Babecki wylicza tam, że wprowadzenie lekarzy gminnych (3500 gmin) w całej Polsce kosztowałoby najwyżej 10 milionów złotych.

W innym artykule J. Stamirowski pisze: „wprowadzenie racjonalnych ośrodków zdrowia we wszystkich powiatach Rzeczypospolitej kosztowałoby łącznie do 25 milionów złotych rocznie".

Łączna suma na ośrodki zdrowia i lekarzy gminnych wynosiłaby więc 35 milionów złotych czyli około 1,6% wydatków państwowego budżetu na r. 1936/37. Nie jest więc tak wysoka. Piękne i racjonalne są postulaty Instytutu Spraw Społecznych w sprawie opieki lekarskiej na wsi. Instytut Spraw Społecznych nie ma niestety władzy ustawodawczej. Obyż idee konferencji w Instytucie rozprzestrzeniły się jak najszerzej w społeczeństwie i skłoniły władze właściwe do zastosowania ich w praktyce. Bo „zdrowie wsi jest sprawą całego państwa, bo zdrowa wieś, to zdrowa Polska".

Irena Dziewicka — lekarz

Halszka Chmielowska-Czarnikowa (Lwów)

Tam gdzie Serb tańczy czardasza

Słyszymy nieraz o Wojwodinie. Ot, taki mały, niepozorny skrawek, przytłamszony ogromem Serbii; biedna, zaniedbana sierotka. A przecież stulecia za stuleciami wypisywały jej niezwykle ciekawą metrykę. Bo historia bywa czasem dziwnie bajkową legendą.

A było tak:

Między wodami brudno-mętnego Dunaju i Cisy rozciągał się szeroko niedostępny, pusty kraj, odstraszający koszmarnym widokiem oparów, zdradziecko pełzających po mokradłach, ziejący kaszmarnym oddechem, kraj dziki, bezludny, upiorny i piękny zarazem. — I przyszedł tu człowiek, człowiek - narwaniec, zawzięty poskramiacz natury. Ostrożnie, sprytnie skacząc z kępki na kępkę, jakimś dziwnym, samozachowawczym instyktem wyszukiwał tajemnicze przejścia i przekradając się swą małą łódeczką wśród szeleszczących trzcin zdobywał sobie pierwsze możliwości prymitywnego bytu. — Ale natura jest mściwa i karze surowo takich śmiałków. Pod niejednym rozwarło się czarne, gęste błoto, wchłaniając bezlitośnie swą ofiarę na wieczność.

Kim był człowiek nieustraszony i uparty, który się nie bał ni ryzyka ni śmierci?... Czyż nie miał swojej własnej ojczyzny, że go skusiły te zdradzieckie, trujące mokradła?...

Biedny to był człowiek, biedny, bo z własnej, ojcowskiej ziemi wygryzła go bezlitosna niewola, która chciała zatłamsić w nim całe jego jestestwo. Dumny Serb nie chciał schylać karku przed pogańskim Turkiem, co opanowawszy prawem bezczelnego intruza kraj, rozpanoszył się w nim z okrutną zawziętością. Zbyt już dopiekły Serbom janczarskie bezprawia, mordem, rabunkiem, gwałtem wdzierające się w ich życie.

Aż przyszedł dzień, że zgnębiony lud serbski, zwinąwszy w tobołki resztki swego dobytku, opuścił zagrody ojcowskie i pod wodzą swego patriarchy Arsenija Czrnojewicia ruszył na północ szukać lepszej doli. I przybyli właśnie na puste, bezludne obszary dzisiejszej Wojwodiny. Zaczęła się żmudna, syzyfowa praca, dziś zwana szumnie melioracją, wtedy obywająca się prymitywnymi narzędziami i jeszcze prostszymi środkami. Mijały lata i rozmiękłe, malaryczne bagna zmieniły się w urodzajne równiny, porżnięte regularnymi kanałami. Z wilgotnej, niezdrowej niziny robiła się poprostu mała Holandia.

Cóż dziwnego, że zaczęli tu ściągać i Madziarzy. Budowali sobie białe, schludne domki, kryte czerwonym gontem i, zakasując do roboty rękawy, bogatymi wsiami rozsiadali się po okolicy. — Kultura węgierska zaimponowała Serbowi. Przychylnie spoglądał na swego madziarskiego sąsiada i z całym zaufaniem wyciągał ku niemu rękę. Przy kuflu jagierskiego piwa wyklepywali na swych plecach poufałe braterstwo, zaplątane w szaleńczą nutę czardasza. Bo tak się już stało, że melodia ta, tłukąc się po karczmach, rozbijając się po wioskowych podwórkach, roznoszona przez „bandy" cyganów od sioła do sioła, stała się najsilniejszym spójnikiem łączącym dwóch różnej narodowości ludzi — Madziara i Serba. I tak się już stało, że wspólna służba huzarska, wiążąca się w ciągłe niespodzianki wojenne, spawała ich w najszczerszym i najpewniejszym koleżeństwie, jakie stwarza ciągłe niebezpieczeństwo śmierci.

I cóż w tym dziwnego, że uboższy i niższy kulturalnie Serb zaczął się z latami madziarzyć, ulegając wpływowi liczniejszych już zresztą Węgrów.

I dobrze im było razem pod łaskawą opieką dobrodziejki — Austrii.

Ale przyszedł rok 1848.

W duszy madziarskiej roztrzepotał się gwałtowny poryw ku wolności i zawisnął dumnie trójbarwną chorągwią przy frontonie każdego węgierskiego domku. W jednostajność rzeczywistości niespokojnym refrenem wplotły się dźwięki Rakoczego i swą sugestywną mocą opętały duszę węgierską. Porwał się Madziar i, zakląwszy siarczyście, chwycił za broń.

Na dnie świadomości serbskiej zrodziła się niepewność. Czy ma pomóc swemu bratu?

Wszak obydwaj chętnie się otrząsną z pod łapy austriackiej. Lecz jakiś nieśmiały głos uporczywie szeptał: ty jesteś przecie Serb nie Madziar, co on tobie za brat?! Przyszedłeś tu pierwszy, a on prawem kaduka przysiadł się na twoją ławę i dobrobyt ci z pod rąk wychwytuje.

Słuchał Serb i głową potakiwał: a no prawda, co on mi tam za brat!

I wzdłuż zielonych, rozszumiałych urodzajem równin rozszedł się wyzywająco podunajski okrzyk: Precz z Madziarami!!

Szarpnięta przyjaźń rozwścieklila się jadem nienawiści. Polała się krew. Nocą wpadał Serb do uśpionej, madziarskiej wioski i rżnął. — Łanami kukurydzy podkradał się Madziar do serbskich zagród i palił. Łuny roztliły się ku widnokręgom i w smrodzie pogorzeli rozpełzała się po kraju krwawa, okrutna nienawiść. Gruzy, rumowiska, trupy oto finał pobratymskiej przyjaźni, pieniącej się do niedawna kuflami piwa.

Jakiż więc los czekał Szandora Kowacza co ukochawszy serbską dziewczynę miłość jej dozgonną poślubił? A Węgier umie kochać wiernie. Czy jednak można było marzyć o dalszej sielance?... Marijce kazano raz na zawsze wykreślić z pamięci dorodnego Madziara i przeznaczono innemu. — Już ojciec Sawa gości zaprosił, już „banda" cygańska skoczne melodie wygrywa, a pan młody pierścionek chce oblubienicy włożyć. Wybiega Marijka przed zagrodę, rozgorączkowanymi oczyma wpatruje się w ciemność i czeka.. może nadejdzie. Może jeszcze raz ujrzy kochanka, który tego wieczora z wojskiem węgierskim za Dunaj miał pociągnąć. Zachybotała się wysoka kukurydza i z ukrycia jeździec ku dziewczynie się zbliża. Szandor!!! Porwał ją w objęcia. Wtuliła się w nie rozpaczliwie, kurczowo chwytając się ramion kochanka. Rozsuwa się przed koniem wysoka kukurydza. Za chwilę będą już daleko, daleko, byle rzekę przepłynąć. Pręży się koń nad urwistym brzegiem, parska, nozdrza szeroko rozdyma... skacze. Brudno-mętne wody niosą ich na środek. Już ich ujrzeli. Z sąsiedniego brzegu nieprzyjacielska warta bierze ich na cel. Padają gęste strzały. Głowa mężczyzny zwisa bezwładnie na białe ramię dziewczyny. Nurt ich niesie coraz chyżej, chyżej... znosi na bok i gwałtownym prądem chwyta w wirowy splot Marosza i Cisy.

Zaczernił się na powierzchni połyskliwej wody łeb koński i zniknął. Za chwilę znów się pokazał, zniknął... i już go więcej widać nie było. Zimne nurty wody wchłonęły na zawsze biedną, nieposkromioną miłość. I tak w pożodze nienawiści skończył się dramat Węgra-kochanka i jego wiernej, serbskiej dziewczyny.

Patrzyła na tę bratnią walkę Austria i zacierała z uciechy ręce. Wysadzenie prochowni węgierskiej w Szegedynie, wyrżnięcie 1000 Madziarów w Baczce, wszystko to były fakty, które bezsprzecznie szły na rękę możnej władczyni. Cóż więc dziwnego, że w wspaniałomyślności swojej postanowiła wynagrodzić Serbów, którzy tak dzielnie z Rajacziczem na czele za jej podszeptem wyprawili się na Madziarów. Przyznaje więc im prawne posiadanie zamieszkałej przez nich od wieków Baczki i Banatu, które odtąd nazywają się Wojwodiną. Czyż mogło to nie być na rękę Serbom? Mają tu przecież teraz już niezaprzeczalnie całkowitą samodzielność i nie muszą się z nią nikim dzielić.

Te swobody stały się więc zarodkiem wielkiej akcji narodowej. Bo tylko tu mógł Serb myśleć i czuć po swojemu. W dawnej jego ojczyźnie panoszył się jeszcze Turek, z którym próżno się było mocować. Nie żałowano ni trudu ni pieniędzy. „Przez oświatę ku wolności" — oto hasło realizowane przez rozsądne sfery mieszczańskie nie szczędzące grosza na szkoły i zrzeszenia. Dzięki tym dobrowolnym fundacjom powstaje gimnazjum w Karlowcach, gimnazjum w Nowym Sadzie i wreszcie

---

Długi Cień.

O Jednym Chrystusie na Antołówce

Przybili ludzie Chrystusa
Na Antołówce do smreka.
— Niech Mu tam pachnie żywica! —
(Wielka jest dobroć człowieka!)

Przybili ludzie Chrystusa
Do smreka między zboża.
— Niech Mu tam szumią, gadają! —
(Przyjemność ludzka i boża).

Przybili ludzie Chrystusa
Na Antołówce do smreka,
Wśród zboża Go przybili —
A Chrystus cosik narzeka.

— Ej ludzie, wy głupi ludzie,
A niechże mędrszy z was który
Tak mnie do smreka przybije,
Bym mógł spoglądać na góry!

Takim już inwalida,
Ino mi patrzeć na nie...
Jakże z dziurami w nogach
Iść na te śtyrbne granie! —

---

najczynniejsze po dziś dzień towarzystwo literackie „Matica Serbska“, chluba Jugosławii.

Ośrodkiem tego życia staje się Nowy Sad. Były to prawdziwe Ateny serbskie, skupisko wysiłków kulturalnych, źródło oświaty emanujące na całą Serbię. Tu należy szukać zaczątków teatru, prasy politycznej, tu powstaje „oteczestwo uczenich srblje“ jako akademia naukowa, będąc najważniejszym rzecznikiem w dziedzinie intelektualnej. Nowy Sad był więc inspektową grzędą kultury i mentalności serbskiej. Nic dziwnego, że w tym czasie stanowił centrum Wojwodiny, ku któremu grawitowało całe ówczesne życie.

Dziwnym jednak wpływom ulegała nowopowstająca kultura.

Jak w gorącym laku odbiło się w niej piętno wschodu. Serbowie długo byli pod wpływem Rosji, Ona dawała im nauczycieli, ona podsuwała cerkiewnoruskie książki, narzucała elementarze, ona służyła wszelkimi środkami i wzorami. Serbowie przyjmowali to skwapliwie i ani się opatrzyli jak wpływy te cudacznie wypaczyły język, stwarzając zabawny cerkiewno - rusko - serbski konglomerat. Trzeba było dużego otrzeźwienia by z konsekwencji tego dalszego stanu rzeczy zdać sobie sprawę. Trzeba było wielkiego i rozsądnego człowieka, któryby konieczność oczyszczenia języka zrozumiał i trud ten na siebie przyjął.

Takim był Dositij Obradowić.

W zapadłej wiosce Banatu wychowuje się mały, dziesięcioletni sierota. Wrażliwą naturę dziecka pożera głód fantazji. Z płomiennymi oczyma wsłuchuje się w proste opowiadania i legendy, tu i tam przypadkowo zasłyszane. Umie już je na pamięć. Mimo to słucha ich po raz dziesiąty z tymi samymi wypiekami, z tym samym płomiennym ogniem w dużych, dziecinnie roztwartych oczach. Przychodzi jednak dzień, kiedy mały chłopak wyrasta z naiwnej wioskowej legendy. Coś go rozpiera, coś go ciągnie. Ucieka z domu i przywdziawszy kaptur mnicha sięga po grube tomy wiedzy. Poślinionym palcem przerzuca pożółkłe kartki, zmęczonym umysłem chwyta chciwie treść świętych żywotów, wodząc oczyma po pięknie kaligrafowanych literach cerkiewnej literatury. Już zgłębił całą ich mądrość. Robi mu się za duszno wśród tych zapchanych półek, przygniata go ciężar grubych, zakurzonych książek. Młody mnich pragnie szerokiego oddechu, wiedzy, pragnie w swych skroniach uczuć puls żywego świata. Nocą wymyka się ukradkiem z klasztoru i puszcza się w daleką włóczęgę po wszechnicach Europy. Dalmacja, Grecja, Niemcy, Francja, Anglia oto trasa długich, dalekich wędrówek w wiecznym tropieniu kultury, skwapliwym notowaniu jej przejawów, w podziwie dla jej rozkwitu.

Słuchał, penetrował, śledził, wreszcie z zapasem nowej wiedzy wraca do kraju, by otworzyć naoścież drzwi i puścić przez nie zdrowy, ożywczy powiew zachodu. Dość już tych grecko-bizantyńskich tradycji, dość tego karykaturalnego języka. Teraz idzie nowa era. Na miejsce mnichów — moralistów przyjdą romantycy i realiści, w miejsce wykoślawionego języka wejdzie czysty, literacki, jędrnie serbski. Uniwersytety Budapesztu i Wiednia przygarniają gościnnie serbską młodzież, chciwymi haustami czerpiącą wiedzę zachodu, by potem po powrocie do kraju pchnąć narodową kulturę na wyższy, coraz wyższy szczebel. Młodzi zapaleni patrioci wyrąbują realne podstawy otrząsającemu się już z niewoli państwu. „Powstań, powstań Serbio! Twą królewską głowę podnieś w górę śmiało, Europie ukaż twą twarz okazałą, Jasną i wesołą jako ranne zorze!“ — oto ambicja młodych inteligentów, pracujących pod rozsądnym patriarchatem Dositija Obradowicia, który we własnych ciepłych rękach wypielęgnował kulturę niewolą pięciowiekową gniecionego państwa.

Przejeżdżałam dziś przez Wojwodinę. Jeszcze daleko przed granicą rumuńsko-jugosłowiańską przez okna wagonu dostrzegłam na niewielkiej stacyjce Timiswar. Timiszoara. Przecież to dawne centrum Wojwodiny, oficjalne centrum autonomicznego kraju. Dziś, okrojone na zysk Rumunii, jest małym, prowincjonalnym miasteczkiem granicznym. Dopiero od Jimbolii wjeżdżamy na teren Jugosławii. Na obie strony monotonna, zielona równina. Żyzne pole roztrzepane chmielem i wspaniale zielonym winem rozpełza się tu i owdzie okrąglastymi dyniami, z pomiędzy których prostują się śmiało słoneczniki, płaską, rozżółconą twarzą wchłaniające lato. Najwięcej jednak brodatej kukurydzy, ogromnymi, szerokimi łanami ciągnącej się bez końca. Cała równina aż pachnie urodzajem. Zieleń pól jest ciemna, wysycona, dojrzała. Niema kawałeczka ziemi leżącego odłogiem, niema najmniejszego nieużytku. Słusznie nazywają dziś Wojwodinę serbską Mezopotamią. Jest ona naprawdę niewielkim, ale zawsze zapchanym, bogatym śpichrzem narodu. Czyżby to te bagna, moczary...? nie, napawdę trudno uwierzyć.

I czy to dziwne, że chyba każdemu Polakowi nasunie się w tej drodze obraz Polesia. Uparcie, natrętnie będzie go prześladować przez tę całą zieloną drogę, będzie go męczyć jakimś dziwnym, niewytłumaczonym wyrzutem, jakimś poczuciem niepopełnionej zdaje się winy.

A oto Subotica. Długa, wąska stacja z cyklu tych austriackich, kolejowych baraków i długi jak kiszka peron osłonięty daszkiem. Pomiędzy drewnianymi filarami zawisły z beznadziejną banalnością zielone skrzynki pelargonii. Tu trzeba się przesiadać na Belgrad. O pamiętna Subotico! Z wygodnych, rumuńskich wagonów trzeba się przesiąść do malutkiej, ciasnej, rozbrajająco niewygodnej kolejki. Ale cóż robić. Żeby sobie trochę ulżyć, klnie się po drodze Bogu ducha winną Suboticę. To przecież od niej zaczyna się taka droga.. No, jedziemy.

Mijamy białe wioski weselące się czerwonymi dachami, czyste, regularne, schludne, poprostu madziarskie. Bo przecież dzisiaj w Wojwodinie jest zaledwie 37% Serbów. Reszta to Węgrzy. Życie więc dzisiejszej jugosłowiańskiej Wojwodiny jest związane naprawdę śmiesznym paradoksem. Czy można ją wogóle z czystym sumieniem nazwać jugosłowiańską?... A z drugiej strony jakim znowu prawem siedzi tu taka masa Węgrów?...

Ta dziwna niepewność wplata się męcząco w porąbany na drobne kawałeczki stukot pociągu. 380 tys. Madziarów... 328 tys. Serbów... Wojwodina... dziwny, naprawdę dziwny kraj...

Wychodzę na korytarz. Przy oknie stoi postawny, ciemny mężczyzna. Serb. Wilgotne, marzycielskie oczy południowca wpatrują się z zamyśleniem w mijaną przestrzeń. „Preczanac“ — tak nazywają w Serbji swych ludzi z za Dunaju i Sawy. Mówią, że są sympatyczni. Łatwiej im tu o kawałek chleba, stąd mniej są uparci, mniej żywi i twardzi niż ich współziomkowie z południa. W pożyciu towarzyskim zdradzają duży układ i gładkość. „Preczanac“ to jednak niepochlebna dla Serba nazwa. To człowiek zarażony cudzoziemczyzną, to nie ten rdzenny, opancerzony nieskażoną odrębnością narodową. To może przecież potomek jakiejś Marijki i Szandora...

Dojeżdżamy do Nowego Sadu. Dziś to tylko wielki ośrodek przemysłowy, świetnie rozkwitły port naddunajski. Hegemonię kulturalną wyrwał mu już powojenny Belgrad. Zato żadne miasto nie zrobi mu konkurencji w ilości zreumatyzowanych kalek. Biedne ofiary wilgotnego klimatu chodzą nieporadnie, wzbudzając litość i zażenowanie patrzącego. Włóczymy się po czystych, asfaltowanych ulicach. Dumnie prezentują się imponujące w swym modernistycznym rozmachu gmachy urzędów. A przecież to miasto ma zaledwie 70 tysięcy mieszkańców... a więc niby nasz Brześć?... Ach, już druga analogia! Czemuż tak uparcie się kręcą w myśli?

Do odjazdu pociągu jeszcze godzina. Przydałaby się kolacja. Siedzimy przy stoliku. Z miną politykiera łapię za gazetę. „Wreme“ — rozumiem wszystko, przeglądam tylko obrazki. Kelner skręca się w uprzejmościach. No cóż, trzeba mu zaimponować wybrednością zachcianek. „Molim krumpir“... niech wie, że Polacy znają się na jedzeniu. Za chwilę staje przed nami talerz dymiących kartofli, no tak, zwykłych, najpospolitszych kartofli. Ach, żeby to z drukowanego jadłospisu można było wyczuć przynajmniej zapach każdej potrawy! Trzeba ratować sytuację. Ryzykuję „paradais“. Zerkam na kelnera, chcąc przynajmniej z jego miny wyczytać smak tej dziwnej potrawy. Nie minęła minuta i już stoją przede mną pomidory, zaśmiewające się dojrzałą czerwonością z moich językowo kulinarnych wiadomości. Zjem je za karę.

Z przyległej sali dochodzą ciepłe tony cygańsko-węgierskiej muzyki. Z pod rozpłakanego smyczka leje się jakaś smutna, tęskna melodia i skowycze cicho, żałośnie. Raptem zrywa się drobnym, ognistym rytmem sypiących się czarodziejsko dźwięków, porywa temperamentem, chwyta życiem, jak płomienne, czarne oczy Madziara. Rozwścieklone, rozhukane tony rozpadają się orgią dźwięków szalejących swobodą, nieokiełzaniem, dzikością niemal...

Czy można nie poddać się magii takiej muzyki? Czy można nie wierzyć słowom Jeża, który mówi, że muzyką da się Węgrów po krańcach świata rozprowadzić, a potem pośrodku „bandę“ cyganów - muzykantów postawiwszy, melodią czardasza zwołać ich do środka. To zupełnie jak w tej śmiesznej bajce ze szczurami.

Ale pociąg gotów uciec. Wraz z drzwiami zatrzaskuje się czar melodii. Jeszcze taki kawał drogi do Belgradu. Oj, ten pociąg, ta nieznośna Subotica!... Noc... Rozciągamy się na wąskich kanapkach przymykając pod powiekami pierwsze wrażenia z Jugosławii. W uszach słyszę ciągle daleką melodię czardasza. Czemu tak uparcie plącze mi się w głowie?... I tych 37% Serbów... 37%... a reszta?... Nie, to paradoksalne, męcząco paradoksalne.. a potem ten czardasz... żeby już wreszcie zasnąć!...

Halszka Chmielowska-Czarnikowa.

Michał Iwaszko (Wilno)

Prawosławny obywatel polski

W zasadzie jestem przeciwnikiem konserwatyzmu.

Wychodzę z założenia, że w Polsce trzeba wiele rzeczy burzyć i budować, a mniej konserwować i dlatego wolę być zwolennikiem idei postępu. W sprawie, którą mam zamiar poruszyć, muszę przyznać, że polska myśl konserwatywna jest najbardziej postępową. Polscy konserwatyści są najlepszymi interpretatorami polityki Jagiellonów i są jakby spadkobiercami tej idei w pierwszej linii, jeżeli chodzi o stosunek do mniejszości narodowych słowiańskich w Polsce.

Kilka miesięcy temu p. Walerian Charkiewicz na łamach wileńskiego „Słowa" wystąpił przeciwko masowemu zwalnianiu i przenoszeniu do „Ostrołęki" (przysłowiowa miejscowość wysyłania przed wojną) nauczycieli prawosławnych, twierdząc ,że nie należy nikogo krzywdzić tylko za to, że przyszedł na świat prawosławnym, bo przodkowie tych prawosławnych kiedyś, w czasach niewoli cierpieć musieli tylko za to, że nie byli prawosławnymi.

W obszernej i wnikliwej analizie stosunków narodowościowych i religijnych na kresach w ich rozwoju historycznym p. Charkiewicz słusznie stwierdził, że przodkowie tych obecnie krzywdzonych niegdyś dzielnie i ofiarnie bronili wschodnich granic Rzeczypospolitej, odnosząc zwycięstwa pod wodzą Konstantego Ostrogskiego i innych.

Nie będę powtarzał wnikliwych i z wielką znajomością rzeczy napisanych wywodów p. Charkiewicza. Stwierdzają one niezbicie, że i dzisiaj mogą być ofiarni i dzielni spadkobiercy Scypiona Ruskiego, jak nazwał p. Charkiewicz Konstantego Ostrogskiego, jeśli tylko my tego nie zmarnujemy.

Informacje zawarte w tym artykule do dziś nie doczekały się urzędowego sprostowania, a co gorsza, nie znalazły żadnego oddźwięku na łamach demokratycznej i pseudo demokratycznej prasy w Polsce. Widocznie uważano, że sprawa nie jest tak ważna, aby nią się zajmować. A szkoda, bo jest ona naprawdę ważną w naszych stosunkach narodowościowych na kresach.

Ja postaram się tylko naszkicować sylwetkę osobową nauczyciela prawosławnego w Polsce i wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski.

Postać ta o niezwykle skomplikowanej budowie psychicznej byłaby zupełnie niezrozumiałą, gdyby chociaż w największym skrócie nie przedstawić środowiska, na tle którego kształtowała się jej osobowość.

W imię obiektywnej prawdy należy stwierdzić, że ludność kresowa powitała przychylnie, a w najgorszym wypadku obojętnie, wojska polskie, które wkroczyły na kresy po odparciu najazdu bolszewickiego.

Chłop białoruski, nieufny do wszystkiego co nowe, był postawiony wobec nowego zagadnienia. Zagadnieniem tym było, co mu da nowy porządek i czy będzie lepszy od poprzedniego. Nie trzeba — niestety — udowadniać, że w pierwszych latach niepodległej Polski myśmy nie zawsze dostarczali materiału, aby to porównanie wypadało na korzyść. Nie będę przypominał sprawy pierwszych nauczycielek, osadnictwa, administracji i t. d. Rzeczy te już należą do przeszłości.

Tym nie mniej w imię sprawiedliwości musimy przyznać, że jeśli chłop białoruski modląc się o lepsze czasy patrzał w stronę Wschodu, to nie było to tylko dzieło wrogiej akcji wywrotowej. My sami jakże często byliśmy bardzo wyrozumiali wobec własnych błędów, a jakże surowi wobec tych, co chociaż w najmniejszym stopniu okazywali swe niezadowolenie. Pierwsi przedstawiciele polskiej kultury z pogardą patrzyli na „tych chamów", do których zostali wysłani, a czasem zesłani (proces odwrotny carskiej „Ostrołęki"). To nie przysparzało nam sympatyków spośród miejscowego ludu.

W takich to warunkach i na takim tle rozpoczęliśmy szkolenie pierwszych kadr miejscowej inteligencji w szeregach nauczycielskich. W owe czasy hasła nienawiści rasowej nie były tak modne, jak dzisiaj, nic też dziwnego, że element pierwszych seminarzystów był bardzo zróżniczkowany. Znalazło się tam dużo i prawosławnych.

Teraz przejdę do rozwiązania tej swoistej zagadki, jaką jest osobowość nauczyciela prawosławnego.

Zaryzykuję twierdzenie, że każdy nauczyciel prawosławny jest „trójbarwny" pod względem narodowościowym. Wygląda to na paradoks, zwłaszcza w mniemaniu „fachowych znawców" stosunków kresowych, opartym czasami na podstawie paro tygodniowego pobytu w sąsiednim folwarku podczas wakacyj.

Otóż ten nauczyciel jest jednocześnie, licząc w kolejności dowolnej, Polakiem, Białorusinem i Rosjaninem.

Barwa białoruska w jego sylwetce osobowej nie powinna nikogo dziwić, bo przecież etnicznie jest on Białorusinem. Jeżeli czasami nie jest on wrażliwy na sprawy narodowe białoruskie, to przynajmniej zawsze jest społecznie Białorusinem. Nędza i niedola wsi kresowej leży mu głęboko na sercu.

Ta cecha jest wspólną wszystkim przedstawicielom inteligencji miejscowego wyrobu, bez względu na siłę oddziaływania pozostałych czynników. Będąc wychowankiem polskiej szkoły był jednocześnie wychowankiem polskiej kultury. Nie mając żadnego uprzedzenia do wszystkiego co polskie, powoli przejmował się naszą kulturą stając się jej tworem i obywatelem Polski Jagiellonów w najlepszym zrozumieniu tego wyrazu.

W wypadku, gdy zewnętrzne „czynniki" nie wprowadzały żadnego rozdźwięku do jego duszy, polska kultura i polskość wypełniała całkowicie jego osobowość. Społeczna białoruskość w cudowny sposób harmonizowała się z jego polską postawą kulturalną.

Trzeci czynnik—rosyjskość—jest pozostałością czasów niewoli i jest skazany na wymarcie drogą śmierci naturalnej, a dobijanie go w duszy inteligencji prawosławnej przedłuża zupełnie niepotrzebnie jego żywot. Ta anomalia powstała naskutek tego, że ludność kresowa nie używa wyrazów katolicki i prawosławny, a zastępuje je wyrazami: polski i ruski. Ta okoliczność niegdyś dobra dla polskiej sprawy (w czasach niewoli) dzisiaj zaostrza wrażliwość ludności prawosławnej na dźwięki mowy rosyjskiej jako na coś im bliższego.

Każda najdrobniejsza represja z tej racji wywołuje skutek wręcz odwrotny intencjom, czasami i całkiem szczerym.

Tym nie mniej nie należy tego czynnika bagatelizować, a co gorsza twierdzić, że jest to równoznaczne z sympatią do Sowietów. To stałe nieporozumienie staje się czasami wprost tragiczne. Napływowi znawcy duszy chłopa kresowego w swej zarozumiałości nie wysilają się nawet, aby tę subtelną różnicę zauważyć.

Nie obeznani czasami ani z literaturą własnego narodu, a jeszcze mniej z literaturą rosyjską, nie mogą zrozumieć, że kultura rosyjska jest potężna w swej sile oddziaływania i należy jej przeciwstawiać jako czynnik rywalizujący kulturę polską. Starsze pokolenie ludności kresowej ukończyło szkoły rosyjskie i nie trzeba się łudzić, że to przeszło bez śladu. Byłoby to jednocześnie brakiem zaufania do siły oddziaływania własnej kultury, a przecież tak źle wcale nie jest. Trzeba się pocieszyć, że czasami jest całkiem dobrze.

Wiara we własne siły jest wielką rzeczą w pracy pionierskiej, ale nie powinna ona iść w parze z ignorancją obcej kultury.

Wywody moje dobiegają końca. Pragnę podkreślić, że wypadki pozostawienia kogoś bez pracy na skutek tego szkodliwego nieporozumienia zdarzają się u nas na kresach dosyć często.

Uśmiercanie ludzi wyrazem „komunista" jest na porządku dziennym. Nie będę wchodził w szczegóły tej sytuacji. Ma ona zawsze pozory służby dobru sprawy i jak najbardziej podparta „argumentami", które najprawdopodobniej nie wytrzymałyby krytytki — gdyby je rozpatrzono bliżej. Chcę tylko zaznaczyć, że inteligent pozostający bez pracy za swą „nieblagonadziożność" przynosi przez samą swą obecność na wsi dużo szkody. Ta dramatyczna sytuacja przypomina stale miejscowej ludności, że jest coś nie w porządku. Taki zgrzyt psuje najlepsze czasami poczynania szczerych pionierów polskości.

W imię najlepiej zrozumianej sprawy należy tego unikać. Odrobina krytycyzmu i rzetelnych studiów nad tym zagadnieniem usunie napewno niejedną przykrą sprawę z horyzontu naszego życia.

Skreślając tę swoistą sylwetkę osobową nauczyciela prawosławnego chciałem przez to przyczynić się do usunięcia stałego nieporozumienia, jakie towarzyszy wypadkom, gdy chcemy dobrze zrozumieć jego postępowanie.

Jeśli czytelnik na podstawie tego artykułu nabierze przekonania, że sympatie nauczyciela prawosławnego do jednego z tych trzech czynników, które składają się na jego osobowość są szczerym odbiciem jego duszy, a nie postępowaniem „koniunkturalnym", zależnym od życiowych warunków, będę bardzo zadowolony. Będę uważał, że cel swój osiągnąłem.

Profesorom lwowskim cześć

Obecna sytuacja w polskich uniwersytetach w każdym uczciwym i mądrym Polaku budzi niepokój o przyszłość polskiej kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu. W dziedzinie etycznej nastąpiło niebywałe rozwydrzenie, tak obce dotychczasowym pojęciom o polskiej młodzieży — wysoce moralnej, sprawiedliwej i rycerskiej.

Rozpolitykowanie studiującej młodzieży burzy tak potrzebny dla nauki obiektywizm i odciąga ją od studiów.

Gdy pod wpływem terroru uczelnie przekształcają się na tereny rozgrywek politycznych, na najwyższy szacunek zasługują ci, którzy spełniając swój obowiązek nauczycieli i wychowawców stoją na straży zagrożonych placówek i źródeł narodowej kultury.

Przedrukowując trzy publiczne enucjacje: list b. rektora Kulczyńskiego, list profesorów Un. J. K. i odezwę profesorów politechniki lwowsk. — przed gronem szanownych autorów schylamy czoła z głęboką czcią.

Redakcja.

LIST OTWARTY B. REKTORA U. J. K., PROFESORA KULCZYŃSKIEGO.

Wobec rozmaitych głosów, interpretujących fałszywie moje ustąpienie ze stanowiska rektora UJK, proszę o pomieszczenie następującego wyjaśnienia:

Dnia 7 bm. złożyłem urząd Rektora, ponieważ nie chciałem położyć mego podpisu na akcie, który niewinnie nazywa się „zarządzeniem władz rektorskich", w istocie zaś swej jest wymuszonym pod presją terroru wekslem, który realizować ma stronnictwo polityczne, a pokrywać Uniwersytet kosztem swego prestiżu i swych żywotnych interesów.

Stronnictwo polityczne, którego dziełem jest terror, uprawiany na Uniwersytecie, głosi hasło bezwzględnej walki z ekonomiczną i kulturalną przewagą Żydów w naszym życiu; walkę tę prowadzić należy nie tylko od dołu, organizując bojkot i walkę konkurencyjną, lecz także od góry przez stwarzanie wyjątkowego ustawodawstwa, ograniczającego prawa Żydów w Państwie i społeczeństwie.

Pierwszy postulat mieści się w ramach swobód organizacyjnych, jakie obowiązujące prawa pozostawiają społeczeństwu, drugi natomiast możliwy jest tylko w ramach pewnego reżimu, który jest obcy reżimowi obowiązującemu w naszym państwie.

Ponieważ tak jest, nie podobna wymusić na władzach ustawodawczych i wykonawczych rozporządzeń i ustaw o charakterze wyjątkowym. Nie można tego wymusić w szczególności ani na rządzie ani na sejmie, ponieważ władze te z platformy prawnej i konstytucyjnej zejść nie chcą, a są dość silne, aby oprzeć się terrorowi. Władze akademickie są bezsilne wobec terroru.

Istnieją natomiast w Państwie władze legalne i to wysokie władze, które są wobec terroru bezsilne. Są nimi rektorowie i senaty akademickie. Władze te mają prawo do wydawania pewnych zarządzeń o charakterze ogólnym. Władze te stoją na czele instytucyj niezależnych i szanowanych, wywierających bardzo poważny wpływ na społeczeństwo, bo oparty o autorytet nauki.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby te właśnie władze i te instytucje terroryzować, zmusić je do wydawania zarządzeń o charakterze wyjątkowym i stworzyć tym sposobem precedens oraz silnie na społeczeństwo działający przykład, jak ustrój i ustawodawstwo winny wyglądać. Przykład ten oparty o prestiż nauki, torować ma drogę do wprowadzenia analogicznych zarządzeń w Państwie.

Stąd hasło „urzędowego ghetta". Ten dodatek „urzędowy" ma swoje istotne znaczenie sprowadza bowiem cały problem zajmowania miejsc na salach wykładowych z platformy wolnego wyboru przez młodzież miejsc obok mniej lub więcej sympatycznych jej kolegów na platformę zarządzenia wyjątkowego, skierowanego przeciw jednej grupie narodowościowej, względnie religijnej młodzieży.

Że ten dodatek „urzędowe" ghetto ma swoją istotną wagę, dowiodły tego wypadki na Uniwersytecie we Lwowie, gdzie zarządzenie, umożliwiające odseparowanie się od Żydów każdemu, kto z nimi obcować nie chce, nie uspokoiło stosunków i okazało się nie wystarczającym. Brak było bowiem posmaku i charakteru zarządzenia „wyjątkowego".

Na sprawę celowości ustaw wyjątkowych w stosunku do Żydów, na sprawę zbawienności reżimu politycznego, proponowanego przez hołdujące monopartyjnemu totalizmowi stronnictwa polityczne, każdy zapatrywać się może jak mu się podoba. Za zbawienność tych recept odpowiedzialne jest wyłącznie stronnictwo polityczne, które jest ich autorem. W każdym razie ani rektor, ani uniwersytet, ani nauka polska za zbawienność tych recept odpowiedzialności nie ponosi, ponosić nie może i nie chce.

Przymus angażowania władz uniwersyteckich i we wprowadzeniu w życie koncepcji polityczno-prawnej stronnictwa politycznego jest szantażem, wykonywanym na uniwersytecie i nauce polskiej, jest rabunkiem kapitału prestiżowego uniwersytetu i nauki na rzecz koncepcji politycznej stronnictwa. Za szantaż uprawiany na uniwersytetach płacą te czcigodne instytucje nie tylko swoim prestiżem, płacą one także wolnością do pracy i rozkładem swego ustroju.

Łatwo jest widzieć, że pod płaszczykiem pięknych haseł solidaryzmu narodowego, obrony polskości naszej kultury dokonuje się rozbiór autonomii uniwersyteckiej, brutalne obdzieranie władz autonomicznych uniwersytetów z ich godności, praw wolnościowych, jedynie zdolnych zapewnić jej rozwój.

Nauka nie może się rozwijać w warunkach przymusu jedynie dlatego, że nauka jest myślą wolną, a myśl, która wolną nie jest nie jest myślą naukową. Bez tego warunku zaś trudno będzie żyć nie tylko uczonym, ale także i tym, których rękoma rozbiór polskiej nauki się dokonuje.

Dr. Stanisław Kulczyński
prof. U. J. K.

Lwów, dnia 11 stycznia 1938 r.

LIST OTWARTY PROFESORÓW LWOWSKICH.

Podpisani profesorowie szkół akademickich we Lwowie uważają za obowiązek określić stanowisko wobec stosunków, które zapanowały obecnie w tych uczelniach.

Wieki trwająca walka o ideały ludzkości stworzyła ze szkół akademickich najwyższe ośrodki rozwoju nauki i kultury. Wyrazem zrozumienia znaczenia tych ośrodków oraz roli, jaką mają spełniać w społeczeństwie, jest zagwarantowanie im swobody oraz niezależności. Szkoły akademickie, jeśli mają spełnić swe zadanie, winny być wolne od wszelkich wpływów, nie mających z nauką nic wspólnego. Najgroźniejsze z nich są te, które je zmieniają na teren rozgrywek politycznych, partyjnych czy też narodowościowych. Tego nie chcą sobie uświadomić ci, którzy już od dłuższego czasu wprowadzają w mury wyższych uczelni w Polsce groźny ferment, a wyzyskując ich wolność i eksterytorialność, przenoszą walkę polityczną na ich teren. Obałamucona przez nich i łudzona popularnymi hasłami część młodzieży zorganizowała bojówki, które swymi barbarzyńskimi występami doprowadziją do zahamowania wszelkiej pracy w uczelniach. Gwałty, nieposzanowanie władz akademickich, bezprzykładne lżenie i znieważanie profesorów oraz władz akademickich, stały się zjawiskiem niemal pospolitym, wytwarzając zamęt graniczący z anarchią.

Próby opanowania tego stanu przez nawoływanie do opamiętania się, spełzły na niczym, a władze akademickie wobec braku odpowiednich środków nie mają już możności obrony kardynalnych podstaw bytu szkół akademickich, ich swobody i niezależności. Znamiennym objawem wytworzonych stosunków są fakty, które zaszły ostatnio. Oto niedawno rektor i senat Politechniki Lwowskiej ulegając terrorowi, wprowadzili urzędowe ghetto, niezgodne w swym założeniu z poczuciem prawa. W ten sposób zadany został cios niezależności i prestiżowi władzy akademickiej, która pod terrorem wyrzekła się swego prawa do swobodnej decyzji.

Drugi, nie mniej znamienny fakt, zaszedł obecnie na Uniwersytecie J. K. Tu rektor od początku stał na straży godności uczelni i poświęcił cały swój wysiłek, aby ją uchronić przed wpływami wprowadzającymi rozkład. Z młodzieży hołdującej metodom gwałtu i terroru, usiłował za wszelką cenę wyzwolić człowieka i obudzić w niej honor obywatela akademickiego oraz poszanowanie dla obowiązujących praw. Dla swoich wysiłków nie znajdował jednak należytego poparcia ani pomocy, a kiedy uczelni zagroził zbiorowy gwałt młodzieży, mający za cel wymuszenie ghetta, z urzędu swego ustąpił. Ustąpił, bo nie chciał narazić na poniżenie najwyższej godności uczelni.

Gdy nauka i kultura są najwyższym dobrem społecznym, a podważanie bytu i swobodnego rozwoju ich ośrodków staje się czynem godnym surowego potępienia, podpisani wyrażają solidarność ze stanowiskiem zajętym przez rektora U. J. K., protestują przeciwko dalszemu nadużywaniu przywilejów i swobód szkół akademickich przez czynniki polityczne, wdzierające się przemocą w mury wyższych uczelni.
We Lwowie dnia 20 stycznia 1938 r.

Podpisy: H. Arotowski, K. Bartel, E. Bratro, L. Chwistek, L. Eberman, R. Ganszyniec, F. Groer, W. Hahn, K. Hartleb, A. Klisiecki, J. Kowalski, W. Krukowski, S. Krzemieniewski, E. Kucharski, S. Siegeżyński, T. Ostrowski, G. Poluszyński, K. Różycki, G. Sokolnicki, S. Stasiak, W. Stożek, D. Szymkiewicz, J. Tokarski, K. Weigel, M. Wierzuchowski, S. Witkowski.

ODEZWA PROFESORÓW POLITECHNIKI LWOWSKIEJ.

Na ogólnym zebraniu profesorów Politechniki Lwowskiej w dniu 21 stycznia, zapadła uchwała wydania odezwy do młodzieży, która to odezwa została podana do wiadomości młodzieży przez wywieszenie jej na murach uczelni.

Odezwa brzmi jak następuje:

Jedną z podstawowych idei zrośniętych z umysłowością kulturalnego człowieka jest poszanowanie nauki i uczelni akademickich jako ośrodków twórczego rozwoju wiedzy. Wyższe uczelnie stanowić winny w każdym narodzie ognisko jego myśli i wysiłków badawczych niezależnie od jakichkolwiek wpływów życia politycznego. Naruszenie tego prawa godzi w najistotniejsze zdobycze kultury społecznej. W życiu lwowskich uczelni akademickich nadszedł dzień, gdy szczera troska o polskie jutro zmusza zebranie ogólne profesorów do przypomnienia młodzieży tych starych prawd, które deptane są dziś w niezrozumieniu następstw tego kroku.

Oceniając pożyteczną i ofiarną akcję młodzieży w życiu narodu i państwa, nie możemy przemilczeć i dostatecznie silnie nie napiętnować metod, jakimi pewna część młodzieży posługuje się w osiąganiu swych zamierzeń i celów. Wypadki dzikich w swych przejawach, gromadnych napadów na pojedyńczych studentów na terenie szkoły budzą odrazę, a brak reakcji ze strony większości młodzieży na te niegodne akademickiego honoru fakty budzi w nas stale wzrastające zaniepokojenie o tę młodzież, która w przyszłości jako oświecona część społeczeństwa ma do spełnienia tyle kulturalnych i szczytnych zadań dla państwa.

Nieposzanowanie władzy rektora i senatu, stosowanie wobec tych władz gwałtu i terroru, naraża na niebezpieczeństwo autonomię szkół akademickich, przywilej gwarantujący właściwe spełnienie ich roli w życiu państwa. Niech młodzież zrozumie, że stale ujawniający się brak posłuchu dla autonomicznych władz szkolnych pociągnąć musi za sobą ku szkodzie ogólnej zastosowanie środków niweczących autonomię. Niech młodzież wie, że odpowiedzialność za ewentualne wprowadzenie takiego stanu będzie tylko ona ponosić. Eksterytorialność szkół wyższych nie może być wyzyskiwana dla celów postronnych, nie mających z nauką i nauczaniem nic wspólnego. Sianiu zamętu z zewnątrz musi być położony kres. Na terenie uczelni akademickich musi ustać każda akcja, która uniemożliwia, lub nawet hamuje spełnienie szczytnych zadań tych szkół.

Zebranie ogólne profesorów Politechniki Lwowskiej wzywa młodzież do spokojnego rozważenia poruszonych tu zagadnień i gremialnego przystąpienia do naprawy zła, jakie opanowało teren szkół akademickich.

Co się działo w styczniu w Polsce i na świecie

Z wydarzeń zaszłych w styczniu na terenie Polski wydzielam na początek sprawy młodzieżowe, jako nam najbliższe. Ze spraw uniwersyteckich najbardziej absorbowały opinię wydarzenia na uczelniach lwowskich. Ponieważ czytelnicy znajdą w tym samym numerze trzy listy profesorów lwowskich, więc ograniczam się tu tylko do samego zanotowania faktu.

W organizacjach młodzieży w styczniu specjalnie ważnych zdarzeń nie zanotowaliśmy. Wzmiankować jednak należy o zorganizowaniu w dn. 16. — 26. I. Ogólnokrajowego Kursu Młodzieży P. P. S., mającego na celu wyszkolenie nowych kadr organizatorów Młodzieży P. P. S. i o obradach Zarządu Głównego C. Z. M. W., które miały miejsce 16. I. W dn. 23. I. odbyło się w lokalu O. Z N. pierwsze informacyjne zebranie delegatów organizacyj młodzieży, podczas którego mjr. Galinat omówił prace prowadzone przez O. Z. N. na odcinku młodego pokolenia.

Dn. 2. II. powołana została nowa organizacja O. Z. N. pod nazwą „Służba Młodych". Jednoczyć ona ma w swych szeregach młodzież robotniczą, wiejską i inteligencką, a w pracach opierać się na hasłach obronności Rzeczpospolitej i budowy Polski przy własnym warsztacie pracy. Przystąpienie zgłosiły: A. Z. Sportowy, Małopolski Z. M. L., O. M. P. (?), Ruch Narodowo-Państwowy, Zjednocz. Polskiej Mł. Pracującej „Orlę", Konfederacja Młodych, Związek Młodej Polski, Zw. Inżynierji Wojsk., Stowarzyszenie Publicystów Młodzieżowych.

Oczy i uszy społeczeństwa zwrócone były w stronę O. Z. N. i z innej racji, a mianowicie niespodziewanej zmiany na stanowisku jego szefa. Dotychczasowy szef płk. A. Koc. z racji ustąpienia wydał okólnik, w którym umotywował swą decyzję złym stanem zdrowia i z tego powodu obawą o możliwość ujemnego wpływu na rozwój akcji O. Z. N. Szefostwo złożył w ręce gen. Stanisława Skwarczyńskiego, dowódcy 1 dywizji, towarzysza broni z P. O. W. i I Brygady. Ta *zmiana w kierownictwie O. Z. N.* wywołała ogólne mniemanie a nadzieje ugrupowań lewicowych że wraz z osobą S. Skwarczyńskiego, brata zasłużonego działacza niepodległościowego i publicysty Adama, polityka O. Z. N. pójdzie na lewo. Konkretnych posunięć S. Skwarczyńskiego jeszcze nie znamy, opierając się jednak na słowach, nie można potwierdzić słuszności przewidywań. W okólniku, wydanym po objęciu szefostwa, wyraźnie zaznacza on bowiem, że z ustąpieniem płk. Koca „żadne istotne zmiany nie zachodzą" i „nowym jest tylko on i jego siły, które bez reszty służbie idei zjednoczenia narodowego oddaje". Również w przemówieniu w Wilnie stwierdził, że „ nie pójdzie drogą prawą, lewą, ani centrową. Pójdzie drogą, którą mu drogowskaz Wodza Naczelnego wskazuje" i oprze się w pracach na deklaracji lutowej O. Z. N. Ze swej strony J. Rutkowski wydał do członków kierowanego przez się Z. M. P. rozkaz organizacyjny, w którym wyjaśnia, że ustąpienie płk. Koca w niczym nie umniejsza jego zasadniczego autorytetu dla Z. M. P., i nie zmienia linii wytycznej ideologii Z. M. P. opartej na deklaracjach: lutowej i czerwcowej.

Następnym, według nas niedocenionej wagi dla polskiej racji stanu wydarzeniem był *zjazd 212 delegatów ukraińskiego U. N. D. O.* i powzięte na nim uchwały. Zdradzają one daleko idącą radykalizację nastrojów ukraińskich, zgadzając się zresztą w treści z wypowiedziami prasowymi działaczy polskich i ukraińskich udzielonymi w odpowiedzi na liczne niekiedy ankiety (patrz np. „Biuletyn Polsko-Ukraiński" Nr. 46 — 48/1937 i Nr. 1 — 4/1938) oraz z uchwałami odbytego dn. 7.XI. Kongresu Wołyńskiego Zjednoczenia Ukraińskiego.

Obecny zjazd stwierdził przede wszystkim specjalnie ciężkie położenie Ukraińców w Rosji i Rumunji, a „prowadzenie z dużymi trudnościami, i przy nadzwyczajnych wysiłkach walki o pełnię praw narodowych" w Polsce. Dalej Zjazd konstatuje, że podjęte przez U. N. D. O. próby normalizacyjne nie dały rezultatów a wysunięte jeszcze w roku 1935 pod adresem polskiego rządu postulaty: 1) nadawania autonomii „ukraińskim" ziemiom etnicznym w Polsce, 2) zmiany ustawy o samorządzie terytorialnym i ordynacji wyborczej na korzyść Ukraińców 3) parcelacji wielkiej własności między miejscową ludność, 4) założenia ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie i rozbudowy szkolnictwa, — nie znalazły nie tylko zrealizowania, ale zrozumienia. Wobec więc tego, że ze strony ukraińskiej okazana była kilkakrotnie dobra wola, a ze strony polskiej nie zaprzestano stosowania różnorodnej polityki narodowościowej oraz „zorganizowanego nacisku społeczeństwa, czynników wojskowych i rządowych" Zjazd poleca kierownikom partii „rozwinięcie jak najszerzej zakrojonej akcji obronnej", „zjednoczenie wewnętrzno partyjne" oraz „zaostrzenie dotychczasowej taktyki, aby w ten sposób wzmocnić odpór społeczeństwa ukraińskiego".

Korzystając z tego, że w ciągu stycznia odbywały się *komisyjne debaty w Sejmie* nad budżetami poszczególnych ministerstw, możemy równolegle podać opinię czynników rządowych na temat kwestii wschodniej. Referent budżetu min. spraw wewn. B. Wojciechowski stwierdził, że dotychczasowa bierność Polaków doprowadziła do zmniejszenia polskiego stanu posiadania, które wywołało konieczność utworzenia Sekretariatu Porozumiewawczego Polskich Organizacyj Społecznych. Za jedyną słuszną zasadę w stosunkach polsko - ukraińskich uznał mówca koncepcję normalizacji, a za najistotniejszy warunek szczerego współżycia niewątpliwe stwierdzenie ze strony Ukraińców, że stoją na gruncie państwowości polskiej oraz lojalne postępowanie zgodne z tym stwierdzeniem. W tej samej kwestii premier Składkowski wyraził przekonanie, że szybki rozwój kulturalny i gospodarczy narodu ukraińskiego nie daje powodów do objawienia przezeń niezadowolenia i zniecierpliwienia, natomiast obowiązkiem rządu jest nie dopuścić na Wołyń skrajnych nacjonalistów, a więc przeciwdziałać wojującemu, szkodliwemu nacjonalizmowi.

Na tym samym posiedzeniu Komisji omówione zostały sprawa chłopska, sprawa komunizmu i sprawa mniejszości narodowych, ze specjalnym uwzględnieniem kwestji żydowskiej, o której powiedziano, że zaogniona jest dzięki trudnościom ekonomicznym kraju o nadmiernej liczbie Żydów w Polsce i rozwiązana być może nie za pomocą pałki i noża a na drodze międzynarodowej akcji, regulującej sprawy emigracji. Premier przeciwstawił się nawoływaniom do zgniecenia lub utrudnienia życia mniejszościom, ale także mieszaniu się mniejszości spoza państwa polskiego w nasze wewnętrzne sprawy, i stwierdził „niezłomną wolę rządu pójścia dalszą drogą życzliwości i jednakowych praw dla wszystkich obywateli państwa".

Może najbardziej nas zainteresuje, co powiedziano na tym posiedzeniu o *zagadnieniu młodego pokolenia*. Dyskusji na ten temat nie było. Według referenta budżetowego trudne warunki młodzieży wynikają ze słabego rozwoju gospodarczego Polski, nieodpowiedniej ustawy emerytalnej, pozwalającej na kumulację posad i rozdźwięk między młodzieżą inteligencką (nacjonalistycznie nastawioną) a chłopską i robotniczą (bardziej lewicową). Za zanarchizowanie i zbrutalizowanie życia akademickiego odpowiedzialni są nie studenci i ich organizacje, dla których władze winny być wyrozumiałe i cierpliwe, ale młodzież która pokończyła wyższe uczelnie, zajęła się polityką i której wystąpienia nie będą tolerowane. Konieczne jest ustalenie porozumienia z młodym pokoleniem i zapewnienie go, że „tam gdzie chodzi o zdobycie chleba, ma ono równy start z ludźmi starszymi". Wkońcu znajdujemy zapowiedź stosowania przez Rząd represyj przeciw tym „którzy przekraczają dozwolone granice walki politycznej i ekonomicznej z Żydami".

Wystąpieniem o większym znaczeniu, bo interesującym nie tylko Polskę ale i zagranicę, było wygłoszone dn. 10. I. na Komisji spraw Zagranicznych *expose min Becka*. W mowie tej min. Beck przede wszystkim wymienił sojusze, pakty i wizyty dyplomatyczne między Polską i innymi państwami i stwierdził, że Polska prowadzi politykę równowagi między wschodem i zachodem Europy na co wskazują pakty zawarte z Niemcami, Z. S. R. R., Francją, Rumunią i przyjazne stosunki z inymi państwami. Świadczy to o tym ,że polityka polska najmniej ucierpiała na „pogłębianiu kryzysu form życia międzynarodowego". który cechuje obecną sytuację. Kryzys ten przejawił się głównie w osłabieniu i zmniejszeniu znaczenia Ligi Narodów, co szczególnie wyraźnie dało się zauważyć po wystąpieniu z Ligi Włoch i deklaracji Niemiec.

W ten sposób od zagadnień ściśle polskich przeszliśmy do *zagadnień międzynarodowych*. Specjalne interesować nas tu będzie setna sesja Ligi Narodów, sądzę jednak, że dla lepszego zrozumienia jej przebiegu, zapoznanie się z aktualną sytuacją poszczególnych państw okaże się rzeczą pożyteczną. Zacznijmy od sąsiadów. *Niemcy* na Nowy Rok otrzymały od kanclerza Hitlera orędzie dające bilans pięciolecia rządów narod. - socjalistów. Po, jedynej zresztą ,stronie osiągnięć zamieszczone tu są: przełamanie kryzysu, zlikwidowanie bezrobocia, ustabilizowanie marki a nadewszystko mocarstwowość państwa w 1933 r. zdeptanego, pogardzonego i pozbawionego praw. Dziękując za współpracę członkom partii, rządu, armii i narodowi dał kanclerz równocześnie wytyczne pracy na przyszłość. „Hasłem polityki wewnętrznej ma być rozszerzenie n.-s. wychowania, polityki gospodarczej — wzmożone tempo wykonywania planu czteroletniego, polityki zagranicznej — wzmocnienie sił zbrojnych.

Bowiem największym zadaniem Niemiec jest utrzymanie pokoju". Dziwnie brzmią potem wobec takich osiągnięć, coraz to ostrzejsze zarządzenia żywnościowe*). Po orędziu Hitlera ukazała się odezwa B. von Schirach'a określająca rok 1938 jako „rok porozumienia młodzieży", współpracy Hitler-Jugend z młodzieżą zagraniczną. Jako dalszy krok w planowej akcji ujednolicania wychowania młodzieży zostały rozwiązane katolickie organizacje młodzieży w Bawarii i Spizie pod zarzutem prowadzenia antypaństwowej działalności.

W *Sowietach* dokonano wyborów do parlamentu — tak jednak same wybory jak instytucja parlamentu faktycznie nie mają żadnego znaczenia, zorganizowane zostały dla oczu zagranicy. Ważniejsze są: 1) protest „Industrializacji" — organu sowieckiego przemysłu, przeciw nadmiernemu terrowi w Z. S. R. R., który prześladuje specjalistów a tym samym gubi przemysł i 2) stwierdzenie przez Radę Komisarzy Ludowych fatalnego stanu rolnictwa w całym Z. S. R. R.

W *Rumunii* po grudniowych wyborach do Sejmu, w których żadne stronnictwo nie uzyskało większości, premier Tatarescu podał się do dymisji a na jego miejsce powołany został prezes partji narodowo-chrześcijańskiej Goga, mimo, że partia jego uzyskała w wyborach zaledwnie 9,2% głosów. Wobec tego parlament został rozwiązany i ogłoszono nowe wybory. Tymczasem Goga przeprowadza unaradawianie życia gospodarczego Rumunii, które przejawiło się w ostrych represjach antysemickich. Polityka ta powoduje zbliżenie Rumunii z Niemcami i Włochami a osłabienie przyjaźni z Francją.

Francja również przechodziła w styczniu kryzys rządowy. Po ustąpieniu rządu Chautemps'a nastąpiły nieudane próby tworzenia gabinetu przez Bonneta i Bluma, kilkudniowe przesilenie i ponowne zorganizowanie rządu przez Chautemps'a, tym razem bez udziału komunistów i socjalistów — co oceniane jest jako zmierzch „frontu ludowego". W polityce zagranicznej Francji przejawia się zacieśnienie współpracy z Anglją w odpowiedzi na „oś" — Rzym — Berlin.

Włochy brały udział ostatnio w Konferencji budapesztańskiej, podczas obrad której odnowione zostały uchwały „protokółów rzymskich" wyrażających solidarność uczuć, myśli i celów Włoch, Austrii i Węgier. Należąc do „trójkątu" Rzym — Berlin — Tokio, Włochy prowadzą politykę antykomunistyczną i wobec tego wraz z Niemcami popierają Japonię w wojnie z Chinami, jednocześnie życząc sobie, aby Chiny raczej do nich zwróciły się o pomoc niż zażenowane brakiem poparcia ze strony U. S. A. — weszły pod protektorat sowiecki. Z drugiej strony, wbrew interesom Francji i Anglii, Włochy dążą do supremacji na morzu Śródziemnym.

Anglia znów, widząc rosnącą siłę i ekspansywność państw totalnych zwiększyła kredyty na zbrojenia, wysunęła projekt zaprowadzenia przymusowej, na wzór niemiecki ,służby pracy oraz licząc się z możliwością wojny, podczas której Włochy i Japonia uniemożliwiłyby jej dowóz żywności morzem z kolonij — buduje olbrzymie magazyny i chłodnie dla nagromadzenia zapasów. Podobnie *U. S. A.* obawiając się utracenia hegemonii ekonomicznej na Pacyfiku na rzecz Japonii, po orędziu prezydenta Roosvelta uchwaliło przeznaczyć dodatkowe kredyty na ogromne zbrojenia na morzu, lądzie i w powietrzu, oraz przyśpieszyć mobilizację armii przez podniesienie stanu liczebności armii rezerwowej do 150 tys.

Konflikt japońsko-chiński trwa nadal. Japonia nie zaprzestaje podboju ziem chińskich i wytrwale dąży do całkowitego zwycięstwa, rozumiejąc, że w przeciwnym razie grozi jej ruina gospodarcza i wewnętrzne walki społeczne. Mimo jednak opanowania już Chin północnych i środkowych, utworzenia własnego rządu w Nankinie, zdobycia najważniejszych portów i zablokowania wybrzeży chińskich, nie można jeszcze uznać Japonii za zwycięzcę a sytuacji jej za całkowicie godną zazdroszczenia. Przed nią jeszcze jest zdobycie Chin południowych podczas gdy: wewnątrz kraju kłopoty gospodarcze zwiększają się wraz z wyczerpaniem wojną, Chińczycy odrzucają wszelkie warunki zawarcia pokoju (zresztą rzeczywiście niemożliwe do przyjęcia) a oprócz tego musi się liczyć z ewentualnością wmieszania się w tę wojnę Anglii, U. S. A. i Sowietów co równałoby się klęsce. Dodatkowo Anglia chce urzeczywistnić projekt światowego bojkotu towarów japońskich. W dn. 11. I. w Tokio odbyła się, zwoływana w wyjątkowo ważnych dla państwa chwilach, konferencja cesarska, której jednak uchwał nie ogłoszono.

Na drugim froncie wojny, w *Hiszpanii* nieustanne walki koncentrują się przy Teruelu, który odzyskany dn. 9. I. przez rządowców, chcą znów zdobyć wojska powstańcze. Daje się tam zauważyć przejście wojsk rządowych do ofenzywy.

Z zestawienia tego wynika ,że istnieje duża ilość spraw, które nadawałyby się do omówienia i rozstrzygnięcia przez jakiś Areopag — niestety — ostatnia sesja Rady Ligi Narodów (jubileuszowa), pokazała raz jeszcze, że Liga Narodów nie może spełnić tej roli. Posiedzenia rozpoczęto zbiorową ujemną oceną działalności, osiągnięć i sytuacji Ligi Narodów, spraw najbardziej palących nie miano możności omówić wskutek nieobecności mocarstw zainteresowanych, sprawy ważne, które mogły być rozwiązane bez udziału tamtych państw ale mogły też wywołać spory — odroczono, sprawy mało ważne załatwiono w kuluarach a na posiedzeniach rozprawiano teoretycznie, operując abstrakcjami. A tymczasem w Chinach i Hiszpanji giną tysiące ludzi...

W. K.

---

*) Niniejszy przegląd był pisany przed doniosłymi zmianami w Niemczech w armii i dyplomacji.

UZUPEŁNIENIE.

Zjazd Z. N. P. w Krakowie dn. 2 b. m. wykazał, że organizacja ta z okresu ciężkiej próby wyszła zwycięsko. Na zjeździe wypowiedziało się z niezwykłą zgodnością kilkaset delegatów w imieniu kilkudziesięciu tysięcy nauczycieli. Z tego trzeba zdawać sobie sprawę.

Judzenie pewnej grupy organów prasowych przeciwko Związkowi Nauczycielstwa Polskiego jest jednym z najsmutniejszych i najbardziej szkodliwych wydarzeń ostatnich miesięcy. Dobro Polski wymaga współpracy, a nie wojny z nauczycielstwem. Muszą to zrozumieć: rząd, społeczeństwo i sam Z. N. P.

A. W.

Z CZASOPISM LITERACKICH.

Ostatni numer (38) „*Sygnałów*" jest całkowicie poświęcony Jędrzejowi Strugowi. Z licznych artykułów wyłania się postać nie tylko znakomitego pisarza lecz i niezłomnego bardzo szlachetnego i pięknego Człowieka. Graficzną ozdobą numeru są liczne fotografie zmarłego pisarza. Redakcja zapowiada, że od lutego „Sygnały" będą się ukazywały dwa razy na miesiąc.

„*Marchołt*" — kwartalnik poświęcony sprawom literatury i kultury. Nr. 2 (14) ze stycznia b. r. zawiera „Wykład inauguracyjny" Stanisława Ostoi-Chrostowskiego, artykuł Czesława Konczewskiego p .t. „Geneza i istota bajki", „Wyjątki z pism Ludwika Popławskiego", polemikę Mieczysława Limanowskiego i Romana Jakimowicza w sprawie wykopalisk grodzieńskich, rozprawy: Mariana Piechala — „Wyspiański i wartości ogólne" i Józefa Gołąbka — „Rozważania o metodzie, cz. I", przeglądy: „Z problematyki powieści katolickiej" (Józef Marian Święcicki), Przekroje literatury współczesnej" (Zygmunt Leśnoborski).

A. W.

Fundusz prasowy „Brzasku"

Zamiast życzeń świątecznych i noworocznych składam zł. 10 na Fundusz Wydawniczy „Brzasku" i również tą drogą serdecznie dziękuje za tak licznie nadesłane mi życzenia.

Wanda Opęchowska.

(Przyp. Red. Notatka powyższa winna się ukazać w nr. styczniowym „Brzasku". Za opóźnienie Redakcja przeprasza Czytelników).

W dalszym ciągu na fundusz prasowy „Brzasku" złożyli: B. Chrzanowski — 5 zł., W. Skorupski — 5 zł.; J. M. Wróblewski — 10 zł.; N. Eychorn-Hiszpańska — 5 zł.; S. Jaworowicz — 1 zł. 50 gr.

Redaktor naczelny: Antoni Wasilewski, Wilno, ul. Mickiewicza 1 m. 7. Administracja: Warszawa, Łazienkowska 7.
Prenumerata: Roczna 3 zł., półroczna 1 zł. 50 gr.: Na konto **P. K. O. Warszawa 62288 „Na Tropie"** (z zaznaczeniem celu wpłaty).

Redaktor odpowiedzialny: Irena Lewandowska. Wydawca: Harcerskie Biuro Wydawnicze „Na Tropie" w Warszawie.

Druk. „Lech" Koszykowa 33. Tel. 8-90-66.